





ROGER GARAUDY

Przekład PAWŁA HERTZA

## KOMUNIZM I MORALNOŚĆ\*) (IV)

## C. Praktyczne zalecenia tradycyjnej moralności

Czy trzeba głębokiej przenikliwości, przypomina nam „Manifest Komunistyczny”, aby zrozumieć, że idee ludzi, ich konkretne poglądy, jak również ich abstrakcyjne pojęcia — słowem ich świadomość — zmieniają się wraz z warunkami ludzkiej egzystencji, ludzkich stosunków społecznych i zbiorowego życia?

W roku 1846 Marx w swojej „Ideologii niemieckiej” szkicuje metodę, której należy użyć:

Jeżeli chce się mówić o istocie religii, to znaczy o bazie materialnej tej rzeczy nieistotnej, to nie należy jej szukać ani w „istocie człowieka” ani w atrybutach boskich, ale w sytuacji świata materialnego odpowiadającej każdemu poszczególnemu etapowi rozwoju religijnego.

Jest rzeczą oczywistą, iż przy pomocy tej właśnie metody naukowej można stworzyć historię religii, historię filozofii lub historię moralności. Dotychczas nie istnieją nawet niezbędne monografie, z których można by skonstruować rozległe syntezy.

To też ograniczymy się do bardzo sumarycznego i bardzo niepełnego wykazania historycznych i społecznych korzeni wielkiej koncepcji życia moralnego, do ukazania tego, co Nietzsche nazwał „genealogią moralności”.

O moralnościach można powiedzieć to, co Marx powiedział o religiach w swojej „Sprawie żydowskiej”: są to mianowicie:

rozmaite stopnie rozwoju ludzkiego umysłu, fuski zrzucane przez węża, którym jest człowiek.

W „Nędzy filozofii” Marx określił dokładniej mechanizm tych przemian:

Ci sami ludzie, który ustanawiają stosunki społeczne zgodnie ze swoją produktywnością materialną, tworzą również zasady, idee i kategorie zgodnie ze swoimi stosunkami społecznymi. To też te idee i te kategorie są równie mało wiecznotrwałe jak i stosunki, których są odbiciem. Są one produktami historycznymi i przejściowymi. Obserwujemy nieustanny ruch w kierunku zwiększania się sił produkcji, nieustanny ruch w kierunku rozpadu w stosunkach społecznych i nieustanny ruch w kierunku tworzenia idei.

Łatwo przekonać się o prawdziwości tych słów. Wystarczy zbadać choćby pobieżnie wielkie etapy historyczne naszej cywilizacji zachodniej, by stwierdzić, że każdy układ stosunków społecznych (niewolnictwo, poddaństwo, praca najemna) stworzył nową, odpowiadającą sobie koncepcję moralności.

Na każdym z tych etapów zrodziła się nowa forma „dualizmu”, który stanowił, jakśmy już to przypominali, fundamentalny postulat moralności. Ten dualizm jest wynikiem stosunków społecznych w każdym kraju i w każdym stuleciu. Uświęca on i usprawiedliwia istnienie danych stosunków politycznych. Ten dualizm metafizyczny i moralny wśród różnorodnych systemów, które go wyrażają, jest ideologiczną transpozycją stałej sprzeczności pomiędzy klasami ustanawiającymi kolejno swoje panowanie.

Spółeczeństwo niewolnicze nadało tej sprzeczności formę metafizyczną. Najbardziej charakterystyczny wśród myślicieli starożytności greckiej, Platon miał pełną świadomość równorzędności jaka istnieje pomiędzy jego metafizyką moralną i społecznym porządkiem Aten.

Wyrażenie „demokracja ateńska” nie powinno nas zwodzić: według spisu ludności, przeprowadzonego przez Demetriusza z Faleronu w roku 309, Attyka miała 21,000 obywateli wolnych i 400,000 niewolników. Mamy tu więc do czynienia z oligarchią niewolniczą. Zaś Platon w swojej „Republice”, która stanowi sumę mądrości ustroju miast greckich, stwierdza konieczność podporządkowania pracownikom — arystokracji, upodabniając pierwszych do materii i popędów materialnych, zaś drugich — do rozumnego rozkazodawcy. Dualizm platoński, apogeum filozofii greckiej i marzenie całej późniejszej myśli zachodniej, jest metafizycznym wyrażeniem sprzeczności pomiędzy dwoma klasami społecznymi: pomiędzy klasą panów i klasą niewolników.

Spółeczeństwo feudalne nadało tej sprzeczności formę teologiczną. Spółeczeństwo w średniowieczu dzieliło się na dwie klasy: na klasę panującą, złożoną z feodaliów i z duchowieństwa oraz na klasę niższą — poddanych. Poddani byli podporządkowani panom, podobnie jak panowie byli podporządkowani Bogu, jakśmy to już mówili poprzednio. Hierarchia społeczna miała swoje odbicie w niebie: element duchowy wniósł był panować nad elementem ziemskim, podobnie jak duch miał panować nad ciałem, jak Stwórca — nad stworzeniem. Długi spór pomiędzy cesarstwem i papieżstwem jest polityczną ilustracją tej teologicznej koncepcji. Majestatyczny system św. Tomasza z Akwinu — wcielenie katolicyzmu, podobnie jak system Platona był wcieleniem hellenizmu — stanowił dobitne potwierdzenie tej prawdy. Ustrój feudalny ze swoją hierarchią suwerenów i wasalów zostaje tam filozoficznie przetransportowany w hierarchię szlacheckich i podległych gatunków ludzkich. Idee logiczne są podporządkowane sobie wzajemnie, podobnie jak poddani są podlegli panom, wasale — suwerenom, księżta — królom, a królowie — papieżowi. Papież, cesarz, królowie, panowie — wszyscy są mniej lub bardziej odległą emanacją Boga, z którego czerpią swoją władzę, podobnie jak idee stanowią w większym lub mniejszym stopniu część istoty, która je ogarnia i łączy. Papież Innocenty III w roku 1198 zaznacza tę równorzędność pomiędzy hierarchią polityczną i hierarchią metafizyczną równie wyraźnie, jak to uczynił przedtem Platon.

Bóg utwierdził na firmamencie dwie wielkie światłości, z których jedna oświeca dzień, a druga — noc: podobnie Bóg ustanowił dwie godności, jedną — bardziej wybitną, dla dusz, drugą, mniejszą, dla ciał. Podobnie jak księżyc otrzymuje swoje światło od słońca, tak samo i władza królewska otrzymuje swój blask od władzy pontyfikalnej.

Filozofia św. Tomasza przenosi hierarchię feudalną w świat idei: stosunki społeczne podporządkowujące wasalów suwerenom stają się stosunkami logicznymi, polegającymi na włączeniu rodzajów podległych do gatunków szlacheckich. Św. Tomasz zarówno w polityce jak i w moralności ma również bardzo dokładną świadomość równorzędności, jaka istnieje pomiędzy faktami społecznymi i pojęciami teologicznymi; w liście św. Tomasza do Hugona II z Lezignan czytamy:

władza religijna panuje nad społeczeństwem, nie pochłaniając go, podobnie jak łaska panuje nad przyrodą, nie burząc jej.

Doktryna św. Tomasza, będąca wyrazem hierarchii feudalnej, usprawiedliwiająca ją metafizycznie, staje się jej narzędziem.

Spółeczeństwo kapitalistyczne nadało sprzeczności klasowej formę ekonomiczną. Od „oświeconego absolutyzmu” Woltera do „zdrady klerków” Bandy, mieszczaństwo zawsze oddawało część rozumowi abstrakcyjnemu; niektóre święta Rewolucji Francuskiej są karykaturą tego kultu. Ten abstrakcyjny „rozum” nie mający zresztą nic wspólnego ze „zdrowym rozsądkiem” ludowym, o którym Kartezjusz powiedział, iż jest najsprawiedliwiej rozdzieloną rzeczą na świecie, jest ideałem porządku wyższego nad lud, porządku tak bardzo wyprzedzającego i górującego nad konkretnym rozsądkiem, nad problemami, które mu się nasuwają i nad zagadnieniami, które ten rozsądek przed sobą stawia, iż odgrywa niemal tę samą rolę, co przeznaczenie dla starożytnych lub opatrność dla chrześcijan; jest wyrocznią, której rady zasięgać mogą tylko w tajemniczeni (czasem mówi się: „technicy”) i której odpowiedzi są niezmienne korzystne dla konserwatywnych ludzi należących do warstw ustabilizowanych oraz dla bezpieczeństwa nabytych przez nich przywilejów.

Jak więc widzimy każda z wielkich koncepcji życia moralnego wyraża przewagę jakiejś klasy, która wysuwa i narzuca swoje wartości. Po narzuceniu swojego ustroju i swoich praw, klasa, która znajduje się przy władzy, usiłuje uszereżyć ten ustrój i te prawa przed tymi, którzy by mogli poddać je w wątpliwość: to też klasa panująca, z pomocą systemu zbliżonego do moralności, nadaje swojemu ustrojowi i prawom inwesturę metafizyczną, religijną lub „ro-

zumową”. Ta mistyfikacja ma swoje kożenie społeczne: każda „wartość”, każdy system wartości, jest uświadczeniem faktycznej przewagi danej klasy. Każde prawo jest faktem.

Przypomnijmy raz jeszcze po przytoczeniu tych przykładów, iż wyjaśnianie genezy jakiejś idei lub doktryny, analizowanie i określanie warunków, w jakich się pojawiła i rozwinęła, nie oznacza bynajmniej zaprzeczenia jej skuteczności.

Siła materialna może być zniweczona jedynie przez siłę materialną; ale teoria także zmienia się w siłę materialną w chwili, gdy przenika do mas.

(Marx, „Przyczynki do krytyki filozofii prawa Hegla”, str. 96, wyd. Costes).

Fanatyzm religijny, uczucie narodowe, entuzjazm wolności, zapłodniły największe epopee historii.

Dlatego też każda klasa społeczna usiłuje zdobyć tę siłę na każdym etapie swojego rozwoju. Zależnie od tego, czy dana klasa społeczna znajduje się w okresie swojego rozwoju, apogeum lub upadku, jej doktryna moralna wyraża bunt, usprawiedliwienie lub żal.

Klasa nadchodząca opiewa postęp: przyszłość otwiera się przed nią podobnie jak otwierała się przed francuskim mieszczaństwem XVIII stulecia, które miało swoich Condorcetów i Diderotów. Klasa, która przegrała, cierpi na nostalgię swoich minionych wspaniałości: marzy o złotym wieku, tworzy lub podejmuje mity i ideologie upadku, wolejąc rozpaczliwie o niemożliwym zmartwychwstaniu: tak właśnie czynią ideologie faszystowskie i hitlerowskie w epoce gnijącego imperializmu — mamy tu nihilizm ich „desperados”, wolę zniszczenia rozumu i mity o „czystej rasie” „pradawnego” narodu (Urvolk), średniowieczne reminiscencje ustroju korporacyjnego albo „nawroty” do sił ziemskich, do Wotana, wzywanych w norymberskich śpiewkach, do czarnej magii mieszanego ziemi na wyżynie Gergowii.

Klasa będąca u władzy stara się nie tylko usprawiedliwić: chętnie również idealizuje rzeczywistość, podobnie jak „chansons de geste” idealizowały rycerstwo. Tym, co wyróżnia te doktryny jest ich optymizm.

Spółeczeństwo niewolnicze ujrzało u szczytu potęgi państwa rzymskiego narodził stoickiego „przeznaczenia”.

Dla arystokracji rzymskiej, ku której napłynęły wszystkie bogactwa świata, która żywiła się langustami z Maurytanii podłanymi winem z Cykladów, która słuchała dźwięków harf greckich, dotykanych palcami dziewcząt z Antiochii i kazała syryjskim niewolnikom cyzelować złoto hiszpańskie, spiż Kasjetydy lub złoto Egiptu, dla tej arystokracji świat mógł z pewnością wydawać się taki, jakim go przedstawiała myśl stoicka: świat jako dzieło „zgasłego artysty”. Niewolnik wyrwany ze swojego kraju, oderwany od rodziny i od ojczyzny przez piratów Cylicji, sprzedany na targu greckim rzymskim kupcom, zmuszony do obracania koła młyńskiego pod batogiem dozorca, był z pewnością mniej skłonny do wiary w szczęśliwą celowość dzieła „zgasłego artysty” i czuł się bliższy doktrynie Epikura, określającej świat jako dzieło ślepych konieczności, jako przypadkowy spór atomów. Cycero mówi nam o tym, że doktryna Epikura stała się z początku popularna wśród biedoty. Wierzymy w to chętnie. Stoicka doktryna celowości wyraża optymizm warstw ustabilizowanych. Triumf doktryny staje się pełny z chwilą, gdy tym ustabilizowanym warstwom udaje się doprowadzić do tego, iż ów „porządek”, tak korzystny dla utrwalenia ich przewagi i ich przywilejów, zostaje przyjęty jako dogmat metafizyczny, dogmat „przeznaczenia”, „fatum”, które nolens volens zostaje narzucone każdemu (fata volentem ducunt, nolentem trahunt) i któremu wobec tego trzeba się podporządkować: („cierp i bądź powściągliwy”). Triumf ten osiąga swój najwyższy szczyt z chwilą, gdy doktrynę stoicką głosi zarówno cesarz Marek Aureliusz jak i niewolnik Epiktet.

Spółeczeństwo feudalne ujrzało w zenicie średniowiecza triumf idei chrześcijańskiej.

Katolicka koncepcja Opatrzności odpowiada tej samej społecznej potrzebie usprawiedliwienia władzy arystokracji, co przeznaczenie stoików. Jej triumf jest jeszcze większy: stoicyzm z wielkim trudem stał się filozofią oficjalną, katolicyzm potrafił panować przez całe wieki jako religia państwowa. Katolicyzm był nawet w średniowieczu kilkakrotnie bliższy urzeczywistnieniu ideału teokracji uniwersalnej. Harmonijna hierarchia poddanych, panów i królów, gigantyczna piramida, na której szczycie stoi papież, jest widomym znakiem opatrnościowej celowości, do której z całego serca lgną moiżni tego świata. Arcydziełem umiejętności było przekonanie „skrzywdzonych i poniżonych” o konieczności utrzymania takiego porządku społecznego, który, „podobnie się Bogu”. Świat wydawał się tym „skrzywdzonym i poniżonym” „padołem leż”, lecz wskutek potęgowania tej wizji udało się ich przekonać, że ten padół leż jest niezbędnym warunkiem powszechnej harmonii świata: do tego świata trzeba było dodać rodzaj przedłużenia, aby zagwarantować „skrzywdzonym i poniżonym”, że i oni będą również brali udział w ogólnym szczęściu. Szczytowe osiągnięcie polegało na tym, że zdołano ich przekonać, iż tym większe czeka ich szczęście na tamtym świecie, im większa jest ich niedola na ziemi. Bóg zsyła cierpienia na tych, których kocha. „Skrzywdzeni i poniżeni” wierzyli w to chętnie, gdyż prawdę mówiąc, tak byli przytłoczeni przez istniejący porządek, że nie mogli dostrzec żadnego (innego realnego) wyjścia ze swojej biedy. Ale z chwilą gdy pojawiła się Reformacja i gdy chrześcijaństwo straciło swoją jednolitość, z chwilą gdy hierarchia feudalna poczęła się chwiać, wówczas pojawili się tłumnie heretycy, których palono na stosach jako czarowników, gdyż działali indywidualnie. Palono ich, jak Husa albo Giordano Bruna, ale z ich popiołów rodził się już nowy świat. Zaczęto się już domagać wypełnienia słów modlitwy: „stań się wola twoja tako na ziemi jak i w niebie”. W legendzie o wielkim inkwizytorze Iwan Karamazow wspomina o „sztondarze ziemskiego chleba”. W ten sposób została złamana harmonijna opatrność katolickich teologów i optymizm warstw ustabilizowanych. „Predystynacja” Kalwina, która ciążyła na duszach bardziej niż fatalizm atomów Epikura, świadczy o zamięcie duchowym, jaki panował w chaosie tworzącego się kapitalizmu. Dawny optymizm rozpadł się w proch wobec tragicznego kryzysu rodzącego się nowego świata: niedługo optymizm ten stanie się przedmiotem drwin. Wolter swoim potężnym śmiechem wygna zeń ostatnie widmo, zapóźnione jeszcze w naukach Leibniza.

Spółeczeństwo kapitalistyczne ujrzało w chwili wielkiego wstępu mieszczaństwa narodzin nauki o „harmonii ekonomicznej”. Dla przemysłowca, dla finansisty czy kupca, których zyski podwajały się z każdym pięcioleciem dzięki postępowi technicznemu, zwiększeniu się ilości rąk roboczych i wzrostowi naduży, optymizm liberalnych ekonomistów od Adama Smitha do Sava i Bastiata, jest zupełnie oczywisty i naturalny. Wszystko dzieje się jak najlepiej na tym najlepszym z możliwych światów. „Laissons faire, laissons passer”. Jeden z tych „optymistów”, Charles Dunoyer, oświadcza cynicznie w swojej książce „O wolności pracy” 1845, że cierpienia ludu są wynikiem jego własnych przywar i błędów:

Dobrze się dzieje, mówi Dunoyer, że istnieją w społeczeństwie otchłanie, w które mogą wpaść rodziny źle się prowadzące i skąd wydobycie się będą mogły jedynie wtedy, gdy zaczną prowadzić się dobrze.

Powstrzymujemy się od komentarzy. Bastiat w swojej „Harmonii ekonomicznej” (1850) podziela ten pogląd:

Czekajcie końca, a ujrzycie, iż jeśli każdy zajmowałby się sobą, wówczas Bóg pomysłaby o nim. (rozd. VIII, str. 290)

Na widok tej harmonii ekonomista może wykrzyknąć, podobnie jak astronom lub fizjolog: jest w tym palec Boży. (rozd. X, str. 391)

A oto konkluzja całego dzieła:

Zjawiska ekonomii politycznej mają również swoją przyczynowość i swoją opatrnościową intencję.

\*) por. „Kuznica” Nr 31—32, 33, 34.



Szczęśliwe prawa ekonomicznej harmonii! Mieszczaństwo w fazie pełnego rozkwitu śniło piękny sen o „zgasłym artyście“ stoików i o „boskiej Opatrzności“ teologów. Przez chwilę tylko wolteriańskie i ateistyczne, wskutek reakcji przeciwko poprzedzającej je magnaterii, mieszczaństwo chętnie powraca na łono kościoła, aby podziękować Bogu, który okrywa błogosławieństwem interesy kupców i przemysłowców. Robotnik, którego od chwili, gdy osiąga ósmy rok życia, pierwsze zapotrzebowanie siły roboczej skazuje na pracę 12. lub 14-godzinną, okazuje mniej uznania Opatrzności i mniej łatwo wierzy w „harmonię ekonomiczną“. Jego pierwszy gest jest odruchem bezsilnego buntu: w 1820 roku rozbija maszyny; w trzydzieści lat później przewiduje wraz z Marxem, że nadejdzie epoka, gdy stanie się ich władzą. Z jego doświadczeń i walk narodziła się nowa moralność.

Wszystkie systemy moralności są jedynie odmianami tych wielkich charakterystycznych tematów danej historycznej ery i danego ustroju społecznego. Rozpracowania filozoficzne, które mnożą doktryny, są ściśle określone potrzebą podwójną:

potrzebą przystosowania ich do doświadczenia, gdyż trzeba stale ulepszać konstrukcje teoretyczne równoległe do zmiennej rzeczywistości społecznej;

potrzebą wewnętrznej spójności, niezbędnej do ułożenia na nowo, w sposób jak najbardziej logiczny, rozmaitych części systemu.

Od jednej do drugiej naprawy, od twórcy od epigonów, od szkoły filozoficznej do sekty moralistów, doktryny zmieniają się w zależności od potrzeby każdej klasy społecznej, każdej frakcji tej klasy, której poglądy reprezentuje każda poszczególna doktryna stanowiąc wykładnik jej ambicji i interesów.

Niekiedy zdarza się, że z poza doktryny wychyla się jakiś potwór. Wydaje się, że gwałci on zasady gry, ponieważ twierdzi, że zrywa zasłonę złudzeń. Potwór ten wybiera sobie miejsce „poza dobrem i złem“. Nezywają go immoralistą. Teoretycy oficjalni wydają z początku okrzyki przerażenia, potem jednak przyjmują potwora do swojego grona. W istocie potwór ten okazuje się bowiem mądrzejszy niżby się zdawało. „Immoralista“ zrywa jedynie z oficjalną terminologią, ale wcale nie zrywa z oficjalnym stanem rzeczy. Z chwila, gdy mijają pierwsze przerażenia, „strażnicy“ ustroju chętnie zezwalają „straszemu dziecku“ na jego słowne fantazje. W Atenach tolerowano całkowicie Kalliklesa, ucznia sofistów. Skazano na śmierć Sokratesa, lecz nie Kalliklesa. Ten fałszywy obrazoburca ograniczał się bowiem jedynie do mówienia tego, co robili wszyscy. Zgorszenie nie było więc wielkie. Hipokryzja klas panujących została co prawda ukazana, ale ich interesy życiowe nie były w nijakim zagrożeniu. Cóż czyni Kallikles, gdy twierdzi, że mądrość polega na posiadaniu jak najsilniejszych namiętności i na zaspokajaniu ich za wszelką cenę? (Gorgiasz, 491 e). Przeciwwstawia moralizatorskiej frazeologii „oficjalnych“ przedstawicieli ustroju, np. Izokratesowi, to, co było prawem imperiałizmu ateńskiego i czyni to w dodatku zgodnie z panującymi zasadami.

Machiavelli opisuje dżunglę watykańską, przeciwstawiając ją faryzeuszowskiemu namaszczeniu kaznodziejów i moralom oficjalnego katolicyzmu. Borgia jest przy władzy. Machiavelli jest zarazem jego historyografem i doradcą; stwarza tylko zasady tego, co już i tak jest prawem dżungli księżęcej i papieskiej.

Hobbes odsłania przed purytańskimi bigotami brudną chciwość Elżbiety. Człowiek jest dla człowieka wilkiem.

Nietzsche opiewa lirycznie wolę mocy nowych „konkwistadorów“ finansów, handlu i przemysłu, przeciwstawiając ją zadowo-

lonemu z siebie optymizmowi liberalistów oraz moralnym i religijnym mistyfikacjom; cynicznie, niby nowy Kallikles, odsłania to, co jest właśnie prawem nowoczesnego imperiałizmu.

Te rodzaje odwagi w niczym nie mącą gry sił będących u władzy. Oto dlaczego istnienie doktryn zwanych „amoralnymi“ nie tylko nie jest sprzeczne, lecz przeciwnie, potwierdza wielkie historyczne prawo pochodzenia systemów moralnych, co Marx formułował następująco w swoim „Przyczynku do krytyki filozofii prawa Hegla“ (str. 99).

Teoria nigdy nie bywa zrealizowana przez lud w większej mierze niż urzeczywistnia ona jego potrzeby... Nie wystarczy, by myśl szukała realizacji, trzeba jeszcze, by rzeczywistość szukała myśli.

W tej krytycznej części naszego studium położyliśmy szczególny nacisk na klasowe znaczenie systemów moralności.

Byłoby obecnie rzeczą absurdalną, gdybyśmy starali się „przekroczyć klasowy punkt widzenia“. Ten gatunek utopii bywa zapładniająca jedynie dla ideologii ucieczki, charakterystycznych dla klasy, która nie osiągnęła jeszcze wystarczającego stopnia rozwoju, aby móc mieć nadzieję zrealizowania swoich doktryn i która wobec tego zadawała się konstruowaniem patetycznych i jałowych zaświatów.

Każda moralność, czy zdradza to, czy też tego nie zdradza, wyraża punkt widzenia danej klasy. Podobnie i nasza moralność. Ale klasa odchodząca musi kłamać, aby usprawiedliwić swoje panowanie, które jeszcze trwa, a które historia już skazała na zagładę. Jej religijne baśnie i jej metafizyczne fałszerstwa służą do usprawiedliwienia praktycznych przepisów, które są pożyteczne dla niej, lecz które nie odpowiadają już interesom całego społeczeństwa. Petain jako obrońca rodziny przesłał ogniska domowe patriotów; jako obrońca pracy wysłał robotników do Niemiec, niby handlarz niewolników; jako obrońca ojczyzny oddawał najbardziej barbarzyńskemu z naszych wrogów jej bogactwa, obywateli i honor.

Czyliż rodzinę bronił Petain? Bronił rodzin garstkę zdrajców solidaryzujących się z jego własną zdradą.

Czyliż pracy bronił Petain? Bronił pasyżniczych trustów przeciwko wszystkim pracującym.

Czyliż ojczyznę bronił Petain? Bronił ojczyznę awanturników nie posiadających ojczyzny, tych, którzy służyli w „legionach“ najeźdźcy.

Oto jest ład i moralność, jakiej kłaniał się biskupi, gdy marszałek Petain przejeżdżał przez ich diecezje; ład i moralność, które zalecał czcigodny ojciec Panici z katedry Notre-Dame. Ta moralność, która podaje się za moralność uniwersalną, a która w istocie jest tylko moralnością klasową, ma dwie wielkie wady:

w wyniku swoich zasad teoretycznych opiera się na kłamstwie;

w wyniku swoich praktycznych zaleceń, służy interesom klasy, która coraz to silniej przeciwstawia się interesom całego narodu.

Dla nas, którzy nie działamy przeciwko prądowi, lecz przeciwnie idziemy wciąż naprzód, ku przyszłości, konstruktywne zagadnienie etyki polega na stworzeniu moralności nie na podstawie rzekomego objawienia lub jakiejś metafizyki, lecz na podstawie prostej i zwyczajnej wiedzy. Prawda jest przyjaźnią klasy postępowej: zapowiada ona jedynie ruinę i śmierć sił skazanych już przez historię. Z tej wiedzy o prawach rozwoju historycznego wystarczy wysnuć, jak zresztą z całej wiedzy, konstruktywną technikę.

Nasza moralność, zespół zasad, które rządzą swobodną działalnością człowieka, polega na określeniu celów i środków w związku z istniejącą rzeczywistością historyczną i społeczną. Nasza moralność nie zaprzecza w żadnym razie ważności i imperatywnej wartości praw moralnych, lecz nadaje im jedynie inną podstawę i inną treść.

Nasza moralność nie opiera się na objawieniu lub metafizyce, lecz na wiedzy. Nasza moralność nie zaleca postępów zgodnych z interesem drobnej garstki pasyżniczych wyzyskiwaczy i zdrajców, lecz zaleca jedynie postępek zgodny z interesem ogromnej większości narodu, z interesem tych wszystkich, którzy pracują i którzy tworzą.

Toteż nasza moralność wyzwala postępowe i twórcze siły ludowe. Nasza moralność — to historia w trakcie przemian, przemian świadomych czyli swobodnych.

Roger Garaudy

VOLTAIRE

Przełożył ADOLF SOWIŃSKI

## GERTRUDA ALBO WYCHOWANIE CÓRKI

Przyjaciele, już zima, więc w najłagodszym trudzie snuć chcę powieść ze zdarzeń dawnych lat złożoną.

Pomówmy dzisiaj wieczór o pani Gertrudzie. Milszej od niej skromniejsi nie widzieli ludzie. Choć trzydzieści sześć wiosen weszło na kark pono, zachowała powabów skromność niezmienną, ruchy zawsze stateczne, wstręt na myśl o brudzie, oczy pełne uroku, lubo je spuszczone. Welon piersi krył równe wręcz alabastrowi, ale sztuką tajemną dawał wchód wzrokowi. Potęgując różaną cerę krągłej twarzy przemysłny pędzel wiotkim karminem się ważył upiększać rysy ściśle w granicach natury. Na gotowalni Pisma Świętego tom który, słońce z różem, a przy nim książka Massillon\*) bo dostarczał jej zwłaszcza Mały Post lektury. Lecz w pobożności miała uroczę znamiona, bo chętnie każdej z kobiet winy pobłażała, żyła z Bogiem Gertruda, a nie obmawiała.

Miała córkę; to bóstwo wchodziło w wiek błogi, albowiem siedemnastu lat miało progł. Ochrzczona Izabela, z urodą tą samą górowała świeżością nad swą piękną mamą. Rzekłbyś, że oto Wenus u boku Minery. Gertruda wychowaniu nie szczędziła werwy i chroniła tę różę rozkwitła w połowie przed jadami, którymi technie ten świat nieprawdy; rozmowy, widowiska i wszelkie zabawy, ci kusicielscy duszy niewinnej wrogowie, istne potrzaski diabła, które świętych płoszą, były w tym domu całkiem nieznaną rozkoszą.

Gertruda w pomieszkaniu swym kapliczkę miała; alkierzyk pobożności; tam, gdy nie zajęta, chodzila by się skupiać i jakoby święta zwane aktem strzelistym modły odprawiała. Sprzęty zaś wyszukane, wygodne, nietanie zdobyły to ustronie nieznanie publice, schody dobrze ukryte z myślą o profanie wiodły stąd do ogrodu, stamtąd na ulicę.

Wiecie, że latem, kiedy słońce żar rozpęta, przyjemniejsze od pięknych dni są nocy cienie, księżyc każe laskawe swe kochać promienie, więc mało snu w tym czasie kosztują dziewczęta. Izabela w tajemny niepokój wtrącona i siedmnastoma laty słodko udreżona taką nocą dyszała w cieniście świeżości. Nie znając jej użytku, legła w tej ciemności, zachwyty nieświadoma wkrąg wiodła spojrzenie, potem wstała, bezwiednie poszła po tej scenie, bez celu, którym mogłaby się zająć głowa, bezmyślnie, lecz na jakąś jedną myśl gotowa. Dobięły do niej szmery od matki z alkierza, przeto ją podbechtala ciekawość niezwłocznie, ale nim tajemnicę podejrzenia poczuła z wahaniem w tamtą stronę i ze drżeniem mierzcha. Stawia nogę na stopniach wprzód podaną, potem wyciąga jedno ramię, a drugie w tył chyli, kark napięty, w szup oczy, serce bije młotem, jednym uchem uważnie dosłyszać się sili. Na sam przed usłyszała szept słodki i czuły, rwane słowa i westchnień jakoweś omdlenie. „Mama — rzekła przez zęby — ma widać zmartwienie, winnam podzielić troski, które ją zatruły.“ Zbliża się, słyszy mowę słodczy wezbranej: „Andrzeju, ty mi szczęście dajesz, ukochany!“ Izabeli przy słowach tych pierzchyli skrupuły. „W tkliwości za daleko poszłam — rzekła sobie — mama bardzo kontenta, ja to samo zrobię.“ Na koniec Izabela do łóżka przybywa, nie może zmrzyć oka, wzdycha frasobliwa. „Więc Andrzej uszczęśliwił! Lecz jakim sposobem? To bardzo piękny talent! Mieć taką osobę!“ Ujrzała dzień następny w silnym poruszeniu, co nieuszło ni chwili Gertrudy wejrzeniu. Izabela tak prosta, z czystej naiwności wyjawiała na koniec plon swej ciekawości.

„Jakże to jest ów Andrzej, pani matko — bada — co jest szczęście kobiety, jako się powiada.“ Zmieszala się Gertruda, zmiarkowawszy zaraz, że ją odkryto, ale nie wpadła w ambaras i zebrawszy się „Córko — rzekła do dziewczyny — musi być jakiś święty u każdej rodziny. Jam nie dawno wybrała świętego Andrzeja, modłę się doń i moja nie chybia nadzieja, wzywam go potajemnie, błagam jasnej mocy, więc nieraz mi się w modlach ukazał wśród nocy. On co największych świętych w raju ma trybuty.“ W jakiś czas później pewien młody i zepsuty pan Dionizy zakochał się był w Izabeli, a że mu wszystko sprzyja, więc ona z nim dzieli miłość i na niejednej umacnia ją schadzce. Z kolei usłyszała Gertruda w zasadzce jak piękne modły, wdzięczne antyfony piała Izabela, gdy ręką pieszczącą ścisła kochanka aż tkliwego w pijaństwie rozkoszy. W Gertrudzie, gdy ich zaszła, wnet gniew się panoszy, a córka: „Wybacz, mamó, gdy ciebie wziął w rzyzy święty Andrzej, mnie wzorem twym święty Dionizy.“ Z tym dniem zaszedł w Gertrudzie zwrot mądry, szczęśliwszy. Zatrzymując kochanka, a świętych rzuciwszy, poniechała daremnych prób zwodzenia ludzi. Nie oszukasz ich nigdy. Wnet się zawiść budzi i jednym rzutem oka twą maskę przesywa. Większa u niej domyślność niż twoje udanie, a próżna cześć z ciągłego przymusu nie stanie za rozkosz, w której życie wolnemu upływa. Gdy śliczna Izabela w świat stawiała kroki, nabrała form, i krasę, siała wkrąg uroki. Gertruda raz na zawsze zaprosiła w gościć co najłodsze zabawy, družebne miłości. Najcenniejszym tam ludziom rażno przeszło życie, bo pierzcha złość, gdy dobrą kompanię złożycie.

\*) Jean Baptiste Massillon, (1663 — 1742), słynny kaznodzieja nadworny Ludwika XIV, autor popularnego zbioru dziesięciu kazań „Petit Carême“, wygłoszonych w r. 1718 ku zbudowaniu Ludwika XV podówczas 8-letniego chłopca.

### TREŚĆ N. ru 34:

Roger Garaudy — Komunizm i moralność (III). Adam Schaff — Sens dyskusji o humanizmie socjalistycznym (II). Juliusz Starzyński — Z problematyki malarstwa nowoczesnego. Aleksander Hertz — Amerykańskie klechdy obrazkowe (I). Barbara Rafalowska — Wertepy. Władysław Broniewski — Wiersze. Adam Bromberg — Plany i realizacje (IV). Przegląd Prasy. Korespondencja.



ALEKSANDER HERTZ

# Amerykańskie klechdy obrazkowe (II)

IV

## POGŁĘBIAMY ZNAJOMOŚĆ

Przypatrzymy się pewnym właściwościom naszych nowych znajomych. Przede wszystkim dostrzeżemy, że nie podlegają oni zmianom czasu. Jest tylko jeden jedyny komik „Gasoline Alley”, w którym bohaterowie starzeją się, rodzą dzieci, umierają i w ogóle zachowują się jak normalne istoty. Ale jest to wyjątek. Mała Anusia ani o włos nie zmienia się, ani o centymetr nie urosła od dnia, w którym przed dwudziestu trzema laty zaprezentowała się po raz pierwszy oby watełom Stanów Zjednoczonych Penny i Bill są takimi, jakimi byli przed laty. Nie urosła mały Barnaby, ani mała Nancy i jej przyjaciel Sluggo. Nie postarzał się Nadczołwiek, ani Mr. Milquetoast, ani Dick Tracy. Czas nie ma na nich wpływu. Jak nie miał wpływu na bogów Olimpu, na bohaterów klechdy i podań wszystkich czasów i wszystkich narodów. Zapamiętajmy sobie tę cechę i to porównanie. Bardzo nam się jeszcze przydadzą.

Jeżeli jednak bohaterowie komików nie ulegają wpływowi czasu, to nie oznacza to, by żyli oni po za czasem. Przeciwnie, duża ich część jest historycznie ułożona i w wydarzeniach bierze bardzo czynny udział. Tak jak bogowie Olimpu i bohaterowie wielkości klechdy ludowych. O tym, co działo się Nadczołwiek w czasie ostatniej wojny światowej, była już mowa poprzednio. W czasie wojny zaczęły się przygody Claire Voyant i jej towarzyszy (komik to młody) i przeszły następnie w lata pokojowe. Sierotka Anusia wytrwale walczyła z Rooseveltem i reformami „New Deal”. Itd. itd. Historia przeszła przez życie naszych bohaterów i oni ze swej strony historię kształtowali. Jedynie tylko fantastyczność - zabawowe komiki nie dbają o historię, są stale poza czasem. Tak, jak to była najczęściej z baśniami ludowymi.

Przypatrzymy się komikom „bohaterkim”, zwłaszcza tym ciągłym, przechodzącym z numeru gazety do numeru. Panuje w nich pewien schemat, od którego odstępstwa są czymś stosunkowo rzadkim.

Bohater staje wobec przygody. Jest to przygoda bardzo dramatyczna, pasjonująca i długotrwała. Bohaterowie dają ona sposobność do wykazania swej wielkości. Ale przygoda się kończy, przechodzi w następną i ulega zapomnieniu. Najczęściej — zapomnieniu całkowitemu. Do wyjątków należy, by reminiscencje dawnych przygód w jakiś sposób zaznaczyły się w przygodzie późniejszej. Rzadko też się zdarza, by postacie, które występowały w przygodach zakończonych, kiedykolwiek znów powróciły. A jeżeli powracają, to dlatego, że w jakiś sposób związały się z charakterystyką głównego bohatera, że weszły do najbliższego jego otoczenia. Odmianą większą pochłonęła niepamięć, błysnęły jak meteory w jednej przygodzie i zgasły. I nie mamy wrażenia, że obecność ich i fakt przygód, z nimi związanych, miały jakiś wpływ na losy samego bohatera i przebieg wypadków komiku.

Rodzice Barnabiego mieli setki dowodów nadprzyrodzonej interwencji pana O'Malley. A jednak wciąż go traktują jako postać zmyśloną, wytwór fantazji ich synka, wciąż każdą następną interwencję oceniają jako nowum, nie mając dla siebie precedensów. Nadczołwiek czyniami swymi wstrząsnął całym światem. A przecież ciągle jest dla świata niespodzianką. I stosunkowo w niewielu komikach bohater powoli zdobywa sobie swój rozgłos, czyniami swymi dając dla niego uzasadnienie.

Jest w tym rozwoju akcji komików coś jak z marzeniami sennymi. Przeżywamy te marzenia żywo i niezwłocznie je zapominamy. Z marzenia przechodzimy do marzenia, w snuciu ich kierując się bardzo specyficzną logiką.

Tego rodzaju charakter mają też najczęściej wielkie cykle klechdy i podań ludowych. Co cyklowi nadaje jedność, to osoba herosa, to cechy jego ducha i ciała, to swoistość jego przygód, to stałość zespołu jego towarzyszy. Ale same przygody są czymś samodzielnym, przesuwają się przed nami, jak w kalejdoskopie i każda z nich może być rozpatrywana niezależnie od pozostałych.

I rozważając komiki amerykańskie, trudno uwolnić się od wrażenia, że odpowiedniki dla nich należy szukać w świecie klechdy, podań i baśni ludowych. Komiki to część folkloru amerykańskiego i tylko tak widziane mogą zostać zrozumiane i należycie ocenione jako ważny element cywilizacji amerykańskiej.

Jest to folklor cywilizacji industrialnej i wielokapitałistycznej. Jest to folklor skomercjalizowany, pachnący farbą drukarską, tworzony w zgiełku wielkich redakcji. Autorów tych klechdy są nam znani, autorów podań antycznych, starosłowiańskich, staro-irlandzkich czy starogermańskich nie znamy. Żyli oni jednak kiedyś, posługiwali się jedynie innymi środkami, operowali inną techniką, wyrażali inne treści. Ale byli braćmi tej plejady amerykańskich rysowników i literatów, którzy dziś służą bohaterom komików.

Podobnie bowiem jak ich dawni poprzednicy, współcześni nam autorowie komików amerykańskich są bardziej sługami swych bohaterów, niż ich twórcami. W życiu współczesnej Ameryki osoby autorów zeszły na

plan daleki, zostały głęboko ukryte poza wydarzeniami i bohaterami, będącymi treścią komików. Któż w Ameryce zastanawia się nad osobą Webstera? Postacią realną jest Caspar Milquetoast, a nie jego autor. Śmierć autora nie jest śmiercią komiku. Miejsce zmarłego niezwłocznie zajmuje nowy autor, który w tym samym stylu, duchu, przy pomocy tej samej techniki nadal snuje opowieść. Komik raz stworzony, raz przyjęty przez publiczność, staje się żywą indywidualnością, której muszą się podporządkować ci wszyscy, którzy rysują obrazki i układają dialogi. I to, że komik panuje nad swymi autorami, jest bodaj jednym z najlepszych dowodów, że mamy tu do czynienia z postacią twórczości ludowej, z klechdami i podaniami, wyrażającymi doświadczenia i filozofię mas bardzo szerokiej.

Jak wszystkie klechdy, tak i klechdy amerykańskie zawierają pewne wątki zasadnicze. Nie trudno jest się w nich dopatrzeć motywów, wspólnych folklorom innych narodów. I choć uległy one zamerykanizowaniu, mają w sobie coś odwiecznego i ogólnoludzkiego.

W komikach amerykańskich odnajdziemy kilka wątków zasadniczych. Węzeł przede wszystkim — wątek heroiczny, powstały na podłożu kultu herosa. Spotkaliśmy się z nim, omawiając dzieje Nadczołwieka czy Dicka Tracy. Występuje on w dziesiątkach innych opowieści obrazkowych.

Nie w każdej z nich heros jest postacią tak niezwykłą, jak Nadczołwiek. W innych jest on obdarzony właściwościami znacznie bardziej zbliżonymi do właściwości każdego z nas. Ale — jak o tym już była mowa — i Nadczołwiek ma swoją stronę bardzo ludzką, bardzo przeciętną. I on jest zbliżony do każdego z nas. Jego osobliwość płynie z faktu, że jest człowiekiem jutra, że już dziś posiada to, co każdy z nas ma osiągnąć w przyszłości. Ten amerykański Olimp jest bliżki ziemi, każdy z jego herosów ma w sobie coś z tej przeciętności, która jest tak droga Amerykanom.

Ale heros nie byłby herosem, gdyby nie był indywidualnością. Heroiczne postacie komików są indywidualnościami. Nie są to ludzie gromady, choć przeważnie żyją dla gromady. Nie są postaciami amoralnymi, ani antyspołecznymi. Przeciwnie — służą ogółowi, walczą ze złem i bezprawiem. Ale jednocześnie nie mieszają się z resztą śmiertelników, stoją ponad nimi, na każdym kroku zaznaczając swą odrębność i niezależność.

Siłnie zaznacza się w tym amerykańskie umiowanie indywidualizmu. Nie oznacza to, by ów indywidualizm był naprawdę obserwowany. Ale wiara w indywidualizm jest ważną częścią amerykańskiego wzoru wychowawczego i amerykańskiej filozofii narodowej. Herosy komików to ludowe sformułowanie amerykańskiego wyznania wiary, to popularna wykładnia tych zasad, jakie zawiera Deklaracja Niepodległości i cała ogromna literatura filozoficzna od Jeffersona aż po Johna Dewey i Johna Santayana za naszych czasów.

W komikach heros zawsze osiąga powodzenie. To też ludowa wykładnia amerykańskiej filozofii sukcesu. I komiki z tą ich filozofią są jeszcze jednym dowodem, że wiara w sukces osobisty jest wciąż żywa w masach Ameryki. Herosy przechodzą przez ciężkie doświadczenia. Natrafiają na potężnych i złośliwych wrogów. Ale zawsze zwyciężają. I to zwyciężają dzięki własnemu zasługom, własnej przemysłowości, wyższości fizycznej czy umysłowej.

Ten sukces, stale osiągnięty przez herosów, jest wyrazem amerykańskiego optymizmu. Komiki są zdecydowanie optymistyczne. Zło jest tu zawsze pokonane, dobro zawsze tu triumfuje. Każdy z herosów jest postacią szlachetną, pozytywną, każdy jest w stopniu mniejszym czy większym repliką Sir Galahada. Z tym optymizmem łączy się ściśle inny element amerykańskiej filozofii ludowej. Jest nim perfekcjonizm. W świecie komików rzeczywistość stale się doskonali, zmierza ku lepszemu, ku doskonałemu. Bohaterowie komików demonstrują, że w granicach naszych możliwości ludzkiej leży osiągnięcie tego doskonałego. Tu znów „człowiek jutra” — Nadczołwiek może posłużyć jako najlepszy przykład.

Po wątku heroicznym drugim z kolei jest wątek kobiecy. Postacie kobiece w komikach odgrywają rolę kolosalną. Niekiedy, jak Claire Voyant czy Dixie Dugan, są to heroinie, będące żeńskimi odpowiednikami męskich herosów. Ale w ogromnej ilości wypadków są to poprostu kobiety — matki, żony, kochanki, przyjaciółki, córki. Są wśród nich i czarne charaktery, w wielu komikach występują kobiety — postacie demoniczne, wampiryczne, goźne intrygantki. Z reguły jednak są im wtedy przeciwstawione wdzięczne dziewczątka, albo piękne i szlachetne bohaterki, albo wierne żony, albo oświecone kochanki. Skala postaci kobiecych jest w komikach bardzo rozległa. Ale, poza nielicznymi wyjątkami, jest w komikach w stosunku do kobiety duża doza rycerskości, jest czułość i rewerencja. Nawet wobec wampiryzmu.

W komikach „mażeńskich” żona ma z reguły przewagę nad mężem. I to nietylko tę przewagę, jaka w życiu prawdziwym cechuje każde stado małżeńskie w Stanach Zjednoczonych. W komiku żona jest rozsądniejsza od męża, rozważniejsza, delikatniejsza, popelnia mniej głupstw, niż on.

Idealizacja kobiety jest ważnym składnikiem amerykańskiej filozofii ludowej. I znów nie chodzi o to, jak te sprawy w życiu autentycznym się układają. Chodzi o to, jak wyglądają one w wierzeniach amerykańskich, w tych normach i regułach, jakie Amerykanin uważa za obowiązujące. Mit kobiety ma w komikach swe bardzo interesujące odbicie.

Mit ten jednak idzie tu w parze z rzetelną obserwacją rzeczywistości. Komiki „mażeńskie” dlatego mają takie powodzenie, gdyż podchwytują na gorąco autentyczne właściwości amerykańskiego życia domowego. Drobne kłopoty tego życia są tu w całej pełni przedstawione, często przejawskrawione i tym właśnie budzące śmiech. Komiki nie są najgorszym środkiem pogłębienia wiedzy o Ameryce dla każdego, kto już coś z tej wiedzy posiada!

Komiki przeważnie akcentują seksualizm postaci kobiecych. Przy pomocy odpowiedniej techniki rysunkowej mocno podkreślana jest „kobiecość” heroini. Chodzi tu o rzeczy, dla których gwara amerykańska znalazła nieprzetłumaczalne wyrażenie „sexy”. Te dziewczęta z komików często są bardzo „sexy”. Komiki zatrącają tu o niezmiernie ważną stronę życia amerykańskiego — seksualizm, wielce specyficzny i zawierający w sobie problemy inne, niż te, jakie w tej dziedzinie istnieją w Europie.

Następnym z kolei jest wątek dziecka. Jest ono niekiedy postacią heroiczną, głównym bohaterem wielkich przygód. Tak jest z ową pyską Anusią, która swe sieroctwo poświęca walce z postępem. Tak jest z Barnabim, bohaterem świetnej satyry na kapitalizm amerykański. Bardzo jednak często dziecko nie jest herosem, lecz po prostu dzieckiem, brzdącem (kid), smykdem, niekiedy nieznośnym, niekiedy wzruszającym, prawie zawsze czarującym.

Tak więc obok heroicznej indywidualności i kobiecy, dziecko jest trzecim bohaterem amerykańskiej legendy ludowej. I jest ono trzecim popularnym wyrazem ludowego wyznania wiary. Amerykanin kocha dzieci. Kocha je naprawdę. W Stanach Zjednoczonych istnieje kult dziecka. Z czego jednak, rzecz jasna, nie wynika, że każdemu dziecku amerykańskiemu dzieje się dobrze! Ale Amerykanin, przynajmniej teoretycznie, chce by się dzieło dobrze. Praktycznie zaś dużo w tym kierunku zrobił. Jest rzeczą oczywistą, że komik amerykański musiał z postaci dziecka uczynić jeden ze swych wątków zasadniczych.

Obok tych trzech głównych wątków istnieją i inne, stosunkowo mniej ważne. Wskażę na jeden z nich — na wątek zwierzęcia, przyjaciela człowieka — przede wszystkim psa. Pomijając komiki alegoryczne (zwierzęce), w komikach awanturnych i obyczajowych pies jest postacią częstą i ważną. Jest nawet komik (Cap Stubbs and Tipie), w którym jest on jednym z dwóch głównych bohaterów (drugim jest mały chłopek). W innym również bardzo głośnym komiku (Napoleon and Uncle Elby) wielki Bernardyn odgrywa rolę, niewiele ustępującą roli dwunogiego bohatera. Pies cnoty są tu przedstawione w całej pełni i w całej pełni opiewane. Kto zna Amerykę, ten nie zdziwi się, że pies wszedł do jej klechdy i folkloru. Amerykanin kocha psa, zapewne przechowując wspomnienia pomocy, jaką ten wierny czworonóg niósł pierwszym osadnikom w ich walce z Czerwonoskórymi i dzikimi zwierzętami.

V

## NIEOCZEKIWANE KONKLUZJE

Więc komiki jako klechdy ludowe? — Władzę niejednego z mych czytelników, jak powątpiewająco kiwa głową. — Klechdy wśród drapaczy chmur, klechdy ludzi wieczmie się śpieszących, wieczmie zaferowanych, myślących o robieniu dolarów? — Inaczej wyobrażamy sobie środowiska, wśród których klechdy musiały powstać. Ale właśnie w takim środowisku takie klechdy musiały powstać. Przypomnijmy sobie postać Caspara Milquetoasta, bohatera bardzo popularnego komiku. Jest to człowiek niezaradny i swą niezaradnością stale przerażony. Nie daje sobie rady z drapaczami chmur, i z ciągłą pogonią za dolarem, i z całą masą skomplikowanych reguł, jakimi cywilizacja industrialna otacza jednostkę. Caspar Milquetoast bierze udział w tworzeniu tej cywilizacji. Jest to udział skromny, ale praca milionów takich skromnych budowniczych jest motorem przemian historycznych. Milquetoast cywilizację tę afirmuje. uznaje za własną, jest z niej dumny, odgrywa w niej jakąś rolę, zajmuje w niej jakieś miejsce. Ale jednocześnie nie czuje się w niej dobrze, jest nią przytłoczony i przerażony. I szuka od niej ucieczki.

Milquetoast stał się postacią symboliczną. Takich „Lekliwych Dusz” jest pełno na ziemi amerykańskiej — w wielkich metropoliach przemysłowych i w małych miasteczkach środkowego Zachodu czy Nowej Anglii. Są to ludzie śmiertelnie zmęczeni rzeczywistością, którą sami budują i którą się pyszną. Ucieczka od życia — „escapism” — to niezmiernie ważny nurt w życiu amerykańskim.

Odbywa się ona różnymi drogami. Niekiedy ma postać wyrafinowanego snobizmu. Najczęściej posługuje się środkami bardzo prymitywnymi, nawet — wulgarnymi. Film, powieść kryminalna, wycieczka samochodowa, seksualizm, alkohol, ilustrowany „magazyn” — oto kilka przykładów środków, jakimi posługuje się „escapism”. Jednym z tych środków są komiki.

Nie może to być jednak uwieczniona powodzeniem ucieczka od rzeczywistości. Albowiem

jej narzędzia są produktami skomercjalizowanej cywilizacji wielokapitałistycznej i same zawierają formy i treści, od których chciało by się uciec. Film jest produktem hollywoodzkiej fabryki, produktami fabrycznymi są radio, „magazyn”, knajpa, powieść kryminalna. I produktem takim jest komik.

I on uległ komercjalizacji. Zmonopolizowały go wielkie syndykaty prasowe, bohaterowie jego stali się sztampami, z których każda jest zabezpieczona w biurze patentowym. Często komik staje się narzędziem najbardziej wulgarnego propagandy. Wystarczy wymienić ową pyską Sierotkę Anusię i jej wojnę z Rooseveltem. Często komik staje się narzędziem barbarzyńczej. Daje treści uproszczone do absurdu, przeżute, uprząmitywnione, zwalnające czytelnika od minimum jakiegokolwiek wysiłku. W szczególności pochodne formy komiku stały się źródłem zdziwienia. Wystarczy powiedzieć, że w postaci komików ukazał się cały szereg arcydzieł literatury światowej. Wyobraźcie sobie „Powieść o dwóch miastach”, „Nędzników” czy „Trzech muszkieterów” spreparowanych jako komiki! I takie preparaty częściej są fantastycznym powodzeniem, zwalnając czytelników od obowiązku zapoznania się z oryginałami.

A jednak komik bardziej niż inne środki ucieczki od życia jest bliżki autentycznej amerykańskiej twórczości ludowej, bardziej niż co innego (z wyjątkiem wspaniałej pieśni ludowej) jest związany z postawami, dążeniami i oczekiwaniami milionów małych ludzi, żyjących na całej przestrzeni olbrzymiej federacji. Klechda amerykańska, podanie, amerykańska baśń są w komiku wciąż żywe, choć bezustannie atakowane przez napór współczesnego industrializmu wielokapitałistycznego.

Popularna autorka amerykańska Taylor Caldwell napisała przed kilka laty powieść pod tytułem „The Final Hour”. Nie jest to powieść dobra, ale jako dokument jest bardzo interesująca. Mówi ona o dziejach rodziny Bouchardów, potężnych magnatów przemysłu zbrojeniowego. Też autorką jest, że Bouchardowie są w swej mentalności i stosunku do życia chłopami. Są to chłopci, którzy stworzyli niezmiernie skomplikowaną cywilizację kapitalistyczną, cywilizację reprezentującą najwyższy poziom techniki, cywilizację, z której są niezmiernie dumni, ale w której ciągle czują się nieswojo. Tragedia Bouchardów polega na tym, że będąc psychicznie chłopami, oderwali się od swego podłoża społecznego, zatracili związek z masami, przestali te masy rozumieć i tym samym znaleźli się poza żywym nurtem historii. Bouchardowie nie mają dla siebie miejsca w cywilizacji, którą zbudowali. I na tym, zdaniem powieściopisarki, polega ich tragizm jako klasy i jako indywidualności.

Z takim motywem można się nieraz spotkać we współczesnej literaturze amerykańskiej. Filozofia, przezeń wypowiedziana, ma duże znaczenie symptomatyczne.

Przy całym swym industrializmie społeczeństwo amerykańskie jest ciągle społeczeństwem ludowym. Nie przeszło ono przez feudalizm, przez ustrój stanowy, zrodziło się na „pograniczu” w chatkach, kleconych z bierwion, w krytych wozach, którymi pierwsi pionierzy przemierzały nowy kontynent. Kraj, któremu oby jest odpowiednik europejskiego chłopca, ma u podstaw swej cywilizacji elementy wyraźnie chłopskie. Odczuwa się to w małych miasteczkach, gdzie atmosfera czasów pionierskich jest wciąż tak żywa. I odczuwa się to w wielkich miastach, gdzie mieszkają chłopci, którzy (albo raczej ich przodkowie) oderwali się od ziemi i zbudowali ultramoderną i ultrakapitałistyczną cywilizację. Stąd stały konflikty między ludowością w postawach, w regułach postępowania, w stosunkach międzyludzkich, a żelaznymi normami cywilizacji wielokapitałistycznej.

Jednym z wyrazów tego konfliktu są komiki. Korzeniami swymi sięgają one opowieści wieczornych w chatkach z bierwion, klechd czasów pogranicza, parabol, alegorii, rubasznych facecji, opowiadanych przez ludzi prostych, szukających odpoczynku po ciężkiej całodziennej pracy. W tych klechdach i gadkach wypowiedziała się mądrość życiowa gawędziarzy, a słuchacze znajdowali w nich naukę i rozrywkę. Gdy zaś gawędziarze i słuchacze z chat przeszli do drapaczy chmur, coś z tych klechd przynieśli ze sobą. Wnieśli w nie jednak nową wartość, wyrosłe ze smutków i rozczarowań, ambicji i marzeń, zrodzonych w warunkach najbardziej zindustrializowanej i skomercjalizowanej cywilizacji świata. Tak powstały owe dziwaczne klechdy — amerykańskie comic strips.

Aleksander Hertz.

MŁODA LITERATURA  
W NATARCIU!

JUŻ OD WRZEŚNIA WY-  
CHODZIĆ BĘDZIE  
MIESIĘCZNIK

N U R T

ZA GADNIENIA  
KRYTYCZNE - NAUKOWE - KRONIKA



ADOLF RUDNICKI

# GINACY DANIEL

(Ciąg dalszy)

duchowieństwu kazano wyjść z dzielnicy, w której było kilka kościołów. Pozostawiono Żydów całkiem samych: Gdy Żydzi zostali sami, wszyscy posiadacze paszportów zagranicznych otrzymali nakaz zgłoszenia się na Pawiaku; mieli być internowani. Obywatel szwajcarski Oskar Bornstein prosił o zwolnienie kilkudniową dla chorego dziecka. Na to odpowiedziano mu, że również dla chorego dziecka będzie lepiej, jeśli się znajdzie na Pawiaku. Oskar Bornstein nie przepychał i w końcu się poddał. Z zagranicznymi z miejscami podzielono na państwa wojujące i niewojujące. Niewojujących między nimi i Oskara Bornsteina z miejscami rozdzielono. Wojujących natomiast umieszczono w pokojach dawnej administracji więziennej, skąd okna bez krat wychodziły na ulicę Dzielną. Z tych okien internowani widzieli tłumy maszerujące na plac przeładunkowy — nieme jak kamień. Tłumy te już nie wierzyły w wartość mowy ludzkiej. Nigdy internowani nie słyszeli jęku starca, czy płaczu dziecka. Tak było na ulicy, natomiast internowanych traktowano jak najlepiej. Żywność bez ograniczeń mogli otrzymywać z aryjskiej strony. Do internowanych zwracano się per Sie i niektóre kobietyki wżruszone europejskością gestapistów zastanawiały się, jakie im prezenty kupić. Na Pawiaku siedzieli od lipca do stycznia w składzie przemieszanych, nie separowano Żydów od nie Żydów, paszport niwelował te różnice. W styczniu 1943 zabrano ich na dwa dni do hotelu Royal na Chmielnej, skąd wyjechali. Wszyscy byli przekonani, że to nowy podstęp niemiecki, że z tych ludzi już się nikt nigdy nie odezwie. Jednakże po czterech tygodniach zaczęły nadchodzić listy — na blankietach dla jeńców wojennych — nie listy lecz hymny: Mieszkają w zdrowisku o europejskiej sławie, w wspaniałych hotelach, Międzynarodowy Czerwony Krzyż przysyła paczki, zakonnice uczą dzieci języka angielskiego (niektóre z tych dzieci uczyły się już trzeciego języka podczas tej wojny) — życie jak na jachcie w czasie pięknej podróży morskiej. Miejsce nazywała się Vittel i powoli ustaliła się jako legenda wśród skazańców, z których jedni żyli, jak szczerzy w swych kryjówek, inni zaś, jeśli nawet wychodzili, to z przeświadczeniem, że każdy ich krok może być ostatnim. Z wybuchem powstania wielkanocnego drugi transport wyruszył do Vittel.

Ludzie żywcem spalani i Vittel; matki z dziećmi, skaczące w ogień i Vittel; ciągle oczekiwanie śmierci i Vittel; obawa szantażu, nieufne i dokucające gospodynie i Vittel; zakonnice uczące angielskiego i szmalcownicy z oczami jak noże na rogu każdej ulicy; wspaniałe hotele, obfite paczki amerykańskie i ciągła obawa przed braniem pieniędzy, która nie opuszczała nawet najzamożniejszych, duo piekieł i Vittel — nie trudno zrozumieć się tej pokusy!

Gdy dzielnica znalazła się po raz ostatni w ogniu, paszporty zaczęły napływać w obfitszej niż dotąd ilości. Henryk Goldman przez rok dobijał się o paszport, wszelkimi możliwymi drogami wysyłał SOS, zaklinał, pisał: Nie macie prawa do spokoju póki..., aż wreszcie przysłano mu zawiadomienie o przyznaniu obywatelstwa, tzw. promessę. Ale w momencie nadejścia paszportu Henryk Goldman już nie żył. Takich Henryków Goldmannów, otrutych, spalonych, zakatowanych było moc. Adresatów nie było, ulic nie było, domów nie było, ale paszporty były. Pewnego dnia zasnute dymem, wstrząsane wybuchami i okrucieństwem miasto objęła wiadomość, że można kupić paszport, albo miejsce na paszporcie, kazać się dopisać jako ojciec, syn, matka, żona i t. p. za pewną sumę. Było jasne, że zagranicą nikt nie będzie kwestionował tego, że zamiast Goldmanna przyjechał Goldfarb czy Goldstein, zagranicą chciała pomóc, taki był sens tych paszportów. Chodziło głównie o stosunek Niemców, a tym razem właśnie Niemcy chcieli pomóc, chcieli sprzedać paszporty, chcieli pieniędzy jak zawsze, ale mieli przy tym

swoje interesy polityczne, tym razem zbawienne, tak mówili najrozsądniejsi.

W tym właśnie czasie Daniel otrzymał ze Szwajcarii list naleony adresowany do przyjaciela, który wkrótce potem wyjechał z Warszawy. Konsulat Hondurasu z Berna zawiadomił, że wraz z rodziną przyznano mu obywatelstwo honduraskie i w tym celu proszą o przysłanie danych i fotografii do paszportów. Wszystko razem było przejrzyste, jednoznaczne, ale nie zaareztowano ani przyjaciela, na którego adres list nadszedł, ani nikogo z jego rodziny. Promessa nadeszła w samą porę. Dzień przed tym była u Daniela gospodyni i obejrzała sobie raz jeszcze pokój i meble jak gdyby widziała je po raz pierwszy. — Biureczko — rzekła — to biureczko... Czy pan nie pisze za dużo na nim? Ono jest przecież kruche, kobiece nie znosi ciężkiej ręki takiego mężczyzny jak pan. A tu o, biureczko podrapane. Czy pan sądzi, że dzisiaj łatwo o meble? Czy z komornego, sądzi pan, łatwo kupić takie biureczko? No, jak się panu zdaje ile powinno ono kosztować? — Podeszła do stołu: Czy pan zbyt często nie rozsuwa tego stołu? (była to istna stonoga, dwaście cienkich nóg na kółeczkach) Nie szanuje się bo cudze. — Szanuje się — odparł Daniel wyczekując — szanuje się... — A właśnie, że się nie szanuje. — Gospodyni mówiła to wszystko nie bardzo się nawet gniewając, ciągle jako wstęp. — Pan wie, cała ulica pana chwali. Mówią, że pan jest grzeczny, delikatny, ładny, niech pan nie zaprzecza, mówią, że pan jest bardzo przystojnym mężczyzną. Ja sama podziwiam to zdanie i uśmiechnęła się jak sześćdziesięcioletnia osoba powinna się uśmiechnąć do mężczyzny o połowę młodszego, filuternie lecz godnie. — Jak pan przyszedł do mnie to pan podawał się za pana Kowalskiego, a potem przedstawił pan mojej synowej dokument na nazwisko Dzikowski i kazał się pan zameldować jako Dzikowski, więc jak pan się nazywa naprawdę, Kowalski czy Dzikowski? Widzi pan te dziewczynki — tu poglaskała dziewczynkę, którą przyprowadziła ze sobą, po jej kędzierzawych czarnych włoskach — ona biedaczka także jest trochę Dzikowska, ona także nie wie, jak się ma nazywać aby jej dobrze było na świecie. Jej ojciec co trzy miesiące nazywa się inaczej, bardzo porządny człowiek! Mnie naprawdę przykro ale ja muszę prosić, aby się pan jak najprędzej wyprowadził. Gdy się sytuacja polityczna zmieni, bardzo proszę, a teraz nie... Jeśli pan jest naprawdę Kowalski, to przecież łatwo znajdzie pan pokój. Kawaler, ładny, wypłacalny, cichy, takiego ze świecą szukać. Jeśli pan jest tylko Dzikowski (również ładne imię, zbyt ładne) to musi pan przyznać, że ja swoje uczucie zrobiłam, narażałam się przez dziesięć miesięcy... Czy pan wie ile nocy bezsennych spędziłam z pańskiego powodu? Ja spełniłam swój chrześcijański obowiązek wobec pana, teraz na innych kolej. Ja pana bardzo proszę, niech pan się wyprowadzi. Przecież pan nie chce, żeby mnie stara żabiła, a dom puścił z dymem. Rozmowa gospodyni były nie do zbicia. Szanse uzyskania nowego pokoju równe zeru. Daniel z trudem ubłagał ją, aby zaczekała kilka dni.

Choć promessa nadeszła w porę, nie mógł się zdecydować na zalegalizowanie jej. Trzeba było być ślepym i głuchym, — powtarzał sobie — aby nie dojrzeć pułapki w tej całej aferze. Zagłada zwykle zaczynała się od propozycji wyjazdu „na Wschód”, „do obozów pracy”, „Zum Arbeitslager Treblinka”. Był to jeden jeszcze jawny podstęp. Daniel codziennie powtarzał to sobie i z przerażeniem stwierdzał, że zbliża się dzień, kiedy zostanie bez dachu nad głową. Decyzję za niego powziął ktoś inny.

Życie lekarza Kaliskiego — jak wielu innych — składało się z dwóch stałych uczuć: zagrożenia i potwornej, ssącej nudy. Każdy z ukrywających się był jak ziarno rzucone w pustkowiu. Było to życie bez pracy, bez kobiet, bez atrakcji, z wyjątkiem atrakcji związanych z oczekiwaniami śmierci, które nie zabijało innych potrzeb. Adresu z zasady nie dawano, nie przyjmowano też nikogo, każdy z tych nieszczęśliwych ukrywających się przebywał z dwiema lub trzema osobami, które musiały mu starczyć za cały świat. Czynnym, rzutkim, żywotnym Kaliski gorzej od innych znosił te nudy. Miał trochę pieniędzy, więc nie cierpiał głodu, stosunkowo dobre mieszkanie, tym ostrzej wystąpiły inne braki. Przychodził do Daniela, wciągał go w niekończące się rozważania strategiczne, o których obaj nie mieli pojęcia, ale się obaj nimi pasjonowali. Kaliski przerywał te rozważania arią z Don Juana, przerywał Mozarta i kłapał świeżo plombowanymi zębami, mówił, że oszaleje, jeśli się coś nie zmieni w jego życiu. Gdy nadeszła promessa z miejsca uznał ją za wspólną (każdego można było wpisać jako rodzinę) i zaczął działać. Wyteżył wszystkie swoje niemałe siły w tym kierunku, aby zmusić Daniela do decyzji. Zachowywał się jak bohater. Jeździł po

mieście nie zważając na Niemców i „szmalcowników”. Jeździł nawet do hotelu Royal i codziennie przywoził wiadomości „z frontu Vittel”. Daniel był bliski obłędu z powodu niemożności powzięcia decyzji. Doszło do tego, że nie otwierał drzwi Kaliskiemu, przerażał go ten cały Kaliski, ta drapieżna wola życia za wszelką cenę, bał się tej aktywności. Pewnego dnia Kaliski przywoził wiadomość, że jutro mają zamknąć listę. „Niemcy twierdzą, że za dużo już ludzi”, bogate Żydy płacą wszelką cenę za miejsce. Jeszcze dzień, a może być za późno. Tam paszportów nie brak. Adam przywoził cały worek promess. Jutro mogą odmówić zalegalizowania naszej. Moja gospodyni zadaje mi coraz dziwniejsze pytania, pieniądze mi się kończą. Jeżeli nie chcę jechać, to powiedz wyraźnie. Kupię miejsce, zwrócę się do Adama”. Sprawa była delikatna. Promessa była co prawda wystawiona na imię Daniela, ale Kaliskiego łączyły węzły przyjaźni z rodziną R. która promessę przysłała. Poza tym Kaliski miał kłopoty z matką i siostrą, które się gdzieś tułają. Daniel rodziny nie posiadał, mógł więc całą rodzinę Kaliskich zabezpieczyć. Tak, ale chcąc zabrać Kaliskich musiał się sam zdecydować. Tymczasem powtarzał sobie codziennie — że nie pojedzie, że za nie nie pojedzie, że to pułapka. Mógł co prawda odstąpić promessę Kaliskiemu, ale to nie było tak proste. Nie chciał wyjeżdżać, ale uważał, że nie wolno mu się wyzywać promessy. Była ona pewnego rodzaju biletem na życie. Gdyby dostał się w ręce Niemcom, co mogło nastąpić każdej chwili, promessa mogłaby go uratować. Dlatego też odrzucał wszelkie propozycje, czynione mu z różnych stron: (Janka W. żona znanego działacza, który siedział na Pawiaku, ofiarowała mu pół miliona złotych, ktoś inny chciał przepisać na jego nazwisko pół domu na Chmielnej). Rankiem tego dnia, gdy Kaliski wrócił z tym, że mają zamknąć listę, Daniel powiedział sobie, że nie pojedzie, że świat jest chory, a w chorym świecie należy jak najmniej się poruszać. Jednakże przed samym nadejściem Kaliskiego, gospodyni zażądała, aby opuścił dom, bo w nocy mieli „przejechać” okolicę. Jeszcze tego samego dnia pojechali do hotelu Royal na Chmielnej.

Przeszło dwa tysiące osób zjawilo się najpierw w hotelu Royal na Chmielnej, a potem w hotelu Polskim na Długiej, po którym sprawa wzięła nazwę. Przynęta chwyciła. Pośród tych dwóch tysięcy nie było ani jednego, któryby nie rozumiał, że to przynęta, że Niemcy znowu nastawili sieci, jak sto razy dotąd. Ale ci ludzie nie mieli gdzie pójść. Wczoraj stracili mieszkanie, poraz nie wiedzieć który został bez dachu nad głową i bez widoków na odzyskanie go. Znalezeli się tu starcy, którzy uważali, że i tak niewiele mają do stracenia i młodzień, której nikt nie chciał, ani las, ani miasto. Przyszli tutaj medrycy i głupcy. W nieustannych rozmowach pomiędzy sobą na temat, czy to pułapka czy nie, bez względu na to, co mówili (np. że Niemcy nie zawracaliby sobie głowy specjalnym hotelem dla zgładzenia jeszcze dwóch tysięcy ludzi) wszyscy nastrojeni byli septycznie i na więcej niż jeden procent: szans ocalenia nie liczyli. Ale poza obrębem hotelu nawet tego jednego nie mieli. Poza hotelem czekał jedynie szmalcownik, aby ich obdrzeć i wydać Niemcom.

Daniel nie pojechał. W tydzień później, gdy rozeszła się pogłoska, że mają ich przenieść do innego hotelu, przekonany, że okaże się nim Majdanek, zwił. On którego pójść na Chmielną przyszło z takim trudem, który kładł się spać z jedną a budził z inną decyzją, którego brak zdecydowania czyniło nieszczęśliwymi wszystkich z którymi obcował, spakował się w pięć minut. To prawda: Był lżejszy od innych, nie miał rodziny na karku, miał tylko siebie i miał Zybarta, u którego mógł przenocować raz lub dwa. Latem 1942 ocalał dzięki temu, że Zybarta wziął go do siebie i trzymał pory, póki nie znalazł sobie mieszkania. Stróż Władysław codziennie molestował Zybarta: Panie szefie, kiedy? Kiedy narecznie wyprowadzi się ten...? Zybarta nigdy nie powtarzał tego Danielowi.

Podejrzliwość Daniela nie była uzasadniona. Tym drugim hotelem okazał się rzeczywiście hotel Polski na Długiej. Dworowano sobie z Daniela. Wszyscy Kaliscy śmiali się z niego, Kaliscy należeli do istoty, nie podległych wątpliwościom. Nazajutrz po ucieczce z hotelu Daniel trafem znalazł sobie pokój, gdzie za dnia wyrabiano sandały. W domu tym mieszcila się żandarmeria polowa, która zamykała bramę przed godziną policyjną. Ilekróć Daniel przychodził, żandarm z blachą na szyi otwierał mu drzwi, życząc dobrej nocy. Zdobycie miejsca do spania obudziło w Danielu nowy rodzaj wątpliwości: że postępuje jak głupi rezygnując z wyjazdu. Nie rezygnował całkowicie, codziennie chodził do hotelu, decyzyjnie odkładając na ostatnią chwilę. Po

czterech tygodniach, gdy okazało się, że transport jedzie nie do Vittel lecz do Celle w Niemczech, Daniel postanowił zostać. Pierwszym transportem wyjechało około tysiąca czterystu ludzi, między nimi troje Kaliskich jako Dzikowscy. Wszystkich wysłanych Niemcy trzymali jakiś czas pod Hannoverem, a następnie przywieźli z powrotem do Polski do Oświęcimia i tu spalili w piecach.

Razem z Kaliskimi, z matką i siostrą Ewą, ukrywał się Rafał Ochocki. Jego atrakcyjność dla obu kobiet nie musiała być wielka, bo gdy wynikła szansa wyjazdu, natychmiast się za nią opowiedziały. Nie pomogły ostrzeżenia, kobiety poszły do hotelu. Wtedy Rafał popełnił coś co graniczyło z obłędem. Mieszkał „na świadomość”, nie miał prawa wychodzić, ta ki był punkt w umowie wynajmu dla obopólnego dobra. Nie zważając na to, że burzy swój kąt i naraża na prawie pewną śmierć, opuścił mieszkanie, przemaszerał przez miasto, „z tym swoim nosem” i dotarł do hotelu. Spaliwszy mosty za sobą (gospodyni zakazała mu wracać) zjawił się bez pieniędzy w hotelu po to aby być razem z Ewą. Lecz młoda kobieta była już zainteresowana kim innym, stosunki zawiązywały się łatwo, kobiety nie oszczędzały się, jak zawsze w okresie kataklizmu. Hotel posiadał trzy rodzaje petentów — zalatwionych, kasę najbardziej uprzywilejowaną, zalatwiających, którzy mieli dość pieniędzy, by kupić miejsce i czekali tylko na przeprowadzenie formalności, i biedaków bez dachu gdziekolwiek, więc siedzieli tutaj. Rafał spadł od razu do trzeciej najniższej kategorii.

Nieprzytomny z miłości do Ewy widział jedno, że ostatnie pieniądze oddała za miejsce w paszporcie, że wyjechała jako Dzikowska, zaś sam właściciel paszportu został. Czy nie było to dostateczne dowody do oskarżenia? Przed Ipe m powiedział: Twierdzą, że ludzie leżli Niemcom sami w łapy, choć było to po Treblince, Oświęcimiu i Bełżcu. Otóż dlaczego? Dlatego, że stary niemiecki kawał poparło kilku Judaszów, mniemających, że w ten sposób uratują własną skórę, a przy tym zagarną „twarde”, „kamienie”, „miękkie” i uciekną do Szwajcarii. Bez pomocy Judaszów nigdy nie udałoby się wyciągnąć z ukrycia tylu wspaniałych ludzi. Człowiek który tam stoi — oskarżyciel nie odwrócił nawet głowy wysłał rodzinę Kaliskich. Wysłał osiemnaście osób, wziął za to pieniądze, ale sam nie pojechał...

Krążąc po podwórzu hotelu Royal, a potem w hotelu na Długiej, Daniel powtarzał sobie: Jeśli daje się zamknąć człowiek starzy, nie znający języka, matka z małym dzieckiem, bez sił do dalszych zmagani, to mają prawo. Ale ty? Czy po to dokonywa się ta euforia bohaterstwa na ziemi i pod ziemią, na morzu i w powietrzu, abyś ty się dał zamknąć? Czy się nie udawisz spokojem obozu, jeśli się nawet okaże, że to spokojny obóz? Będziesz jał z ręki która wzniosła Treblinkę i Oświęcim? Z ręki, która pędziła do pieców osoby tak ci drogie, jak własne wnętrzności? Czy rzeczywiście w całym narodzie nikt nie rozumie, że nie wolno paktować nawet za cenę życia? Czy jeśli się nawet uratujesz, nie wstyd ci będzie ceny, którą zapłaciłeś? Czy wszystko co ładne, ludzkie, uważasz już za zbędne? Dlaczego szukasz analogii w tym tłumie, a nie pamiętasz o tych, którzy nie przyszli? Może nie przyszli dlatego, że zrozumieli, że nie wolno im brać życia z ręki katów?

Na podwórzu hotelowym łamał się ze sobą, pełen wstępu do tłumy dlatego przede wszystkim, że ten dawał sobą rządzić szpiclom i dziewczkom. Nie dostrzegł w tym tłumie żadnej do nich odrazy, przeciwnie. „Adam przyszedł! Paweł przyszedł! Lolek przyszedł!”. Widział nabożeństwo z jakim wymawiano te imiona. Widział jak usuwano im się z drogi. Widział jak dumne mieli twarze ci, których szpicle zaszczytlił potaniem ręki. Szpicel i dziewczka byli ostatnimi królami tego tłumy... Gdy zwierzył się ze swych spostrzeżeń odpowiedziano mu, że nic nie rozumie, że nie uwzględnił drogi, jaką prawie każdy z tu obecnych miał za sobą. Przyszli z bunkrów, z kanałów, z ucieczki stokrotnej śmierci, moralnie martwi, opluci, upokorzeni (i dziwił się że w reakcji kiedyś obudzi się w nich chucpa, której źródła świat nagle przestanie rozumieć) jedynych obrońców znajdując w tych właśnie szpiclach, w dziewczce żyjącej z Niemcem. Powiedziano mu, że widzi błoto, a nie widzi przyczyny błota, jak antysemita.

Tak było, a przecież krążąc po podwórzu rozdarty wewnętrznie myślał nieraz: Wyjadą i spalą ich. Ja nie wyjadę i powiedmny przeżyje. Przeżyje, a potem zapytaj mnie: W jaki sposób? Wszyscy którzy przeżyją będą podejrzani. Co im odpowiem? Przypomniał to sobie nagle, gdy Rafał przeprowadził go pod dwudziesty drugi i zadrżał,



## III.



edyną osobą, którą ucieszyło jego zwolnienie, była służąca Jadwinia. Krzątała się przy nim, podała mu trochę wody w misce, wystarała się o kawałek mydła i podsunęła mu czystą koszulę — wszystko na wagę złota w powstańczym mieście. Gdy wyraził obawę, że pan Zybert może się pogniewać, odpowiedziała jak zwykle: Ojciec niech pan się nie boi, to nie pana Zybera. Słuchając jej opowiadań a potem ze skąpych i gorzkich słów Zybera, Daniel powoli zaczął się orientować komu zawdzięcza swoje uwolnienie. Nie temu, że oskarżyciel cofnął oskarżenie i Ip przekonał się, że trzyma pod kluczem człowieka niewinnego. Swoje uwolnienie Daniel zawdzięczał przede wszystkim Jadwinii. Kapitanem Ipcm rządziła sąsiadka Zybera „majorowa bez majora”, który przebywał gdzieś na oflagu, tak zwana Millerka, osoba fajna pod każdym względem. Ip — symbioza chłopka i podżegnego urzędnika — w normalnych stosunkach nie mógłby marzyć o podobnej zdobyczy, ale czas przelotny ma własną skalę wartości. Na czas powstania Ip miał niepospolite zalety: Był pierwszą osobą w domu, a każdy dom był wyspa, żyjącą własnym życiem, możliwością Ipa pod względem aprowizacyjnym były nie do pogardzenia i t. p. Piękna Millerka na czas powstania została bez służącej i zupełnie sobie nie radziła z gospodarstwem i ze swoim sześciolatnim synkiem, a wiadomo co jakich rozmiarów urastają sprawy gospodarskie, gdy się nad nimi nie panuje. Jadwinia wzięła na siebie jej kuchenną sprawę i naturalnie kupiła ją sobie. Jadwinia w ogóle stała się pierwszorzędną postacią. Gosposie i służące z czwartego i trzeciego piętra całym dniami siedziały w schronach. Bojąc się wracać do swoich mieszkań bardziej narażonych, korzystały z kuchni Zybera, która powoli zamieniła się w kuchnię ogólnodomową. „Jadwiniu czy masz ogień pod blachą? Jadwiniu masz miejsce na blasze?” Cały dom stał się zależny od Jadwini, która harowała od świtu nie licząc się z żadnymi zakazami. Nie wolno było na przykład rozpaść ognia w pewnych godzinach, aby nie ułatwić rozpoznania samolotem, tak mówili powstańcy, ale Jadwinia paliła pod blachą, tyle ile jej się podobało „Ojciec muszę przecież mojemu panu dać coś do zjedzenia”. Żandarmi patrzyli na to przez palce. Inne dziewczęta uważały ją za idiotkę: Jadwiniu, dla kogo ty się tak zaharowujesz, powtarzały ciągle, ale jakoś lubiły tę idiotkę i dopuszczały ją do zabaw z żandarmami, choć żandarmi tylko cenili ją. Jadwinia mniej niż inni bała się nalołów, do schronu schodziła rzadko kiedy. Najczęściej już po naloce z pieskiem na ręku wchodziła pomiędzy mileczką tłum, mówiąc: Już można wyjść! Już po naloce. Wtedy z pewnym zażenowaniem pozwalał lokatorzy spoglądać na siebie i uśmiechać się. Po zamknięciu Daniela, Millerka dziesięć razy dziennie musiała odpowiadać na pytanie: Co tam? Kiedy go wypuszczą? Sprawa winy nie interesowała Jadwini. Zawsze i we wszelkich okolicznościach broniła tych, którym się noga podwinęła. Dom Zybera był istnym składem dla ulicznych handlarzy. Jadwinia broniła ich przed żandarmem powstańczym Bakiem, który niedawno temu pracował w policji i gonił bułczarki na ulicy. Przed Millerką stanął problem: albo zrezygnować z nieodpłatnej pomocy Jadwini, albo przyczynić się do wypuszczenia Daniela. Należy przypuszczać, że zanudzała kapitana. Czwartego dnia Ip ustąpił. Był na wet zdania, że powinien być Daniela wypuścić wcześniej. Bez skargi nie powinien go być przetrzymać. Nie miał czym karmić aresztanta. Oskarżyciel choć obiecał, skargi nie złożył. Zresztą cała ta sprawa nie podlegała jurysdykcji powstańczej. Tylko bezpośredni szkody, którym udowodniono działalność na szkodę Polski Podziemnej lub Niemcy, kwalifikowały się do zamknięcia. Historia Daniela nie miała nic wspólnego ani z Polską Podziemną ani z powstaniem. I kapitan Ip zwolnił Daniela.

Na noc pod pozorem, że tak będzie wygodniej, Zybert kazał Danielowi pościelić w innym pokoju, widocznie nie chciał z nim spać razem jak dotąd. Daniel próbował stąpać, ale żadna nie przynosiła snu. Ostrze skargi czuł teraz dotkliwiej, niż w areszcie, gdzie wierzył, że sprawa musi się wyjaśnić. Czołgi były blisko, ale Daniel czołgom nie poświęcił ani jednej myśli. Oskarżenie rozbito jego sen, jego uwagę jak kopyta zsiadłe mleko. Z trudem doczekał się świtu i wyszedł z domu. Pierwsze swe kroki skierował do kina Palladium, mieszczącego się w podziemiach sześciopiętrowego nowoczesnego domu. Samo kino było niedużym „ostatnim krzykiem mody”, miało podłogę pochyla, aby ostatnie rzędy nie utraciły nie z ekranu, miękkie krzesła, stonowane światła, „wyczyn architekta i filmowca”

jak pisała prasa w swoim czasie. Teraz słuchało ono za schron. Było to chyba najbardziej cuchnące miejsce na świecie. Cuchnące, lecz bezpieczne. Wśród wielu którzy znaleźli schronienie w kinie znajdował się człowiek, który mógł poinformować Daniela, gdzie mieszka małżonka lekarza Kaliskiego.

Kaliscy nie żyli ze sobą od lat, pozostawiali jednak w stosunkach przyjacielskich i małżonka wprowadzona była w sprawy męża, a także w sprawy związane z hotelem. Wanda Kaliska sama zresztą miała wyjechać. Brat jej, adwokat Sznajder za dwieście tysięcy złotych kupił cztery miejsca, dla siebie, żony, dziecka i dla Kaliskiej, jeszcze na początku. Potem Sznajder zaczął pracować w kancelarii i „odbił sobie koszt podróży”. Sprawili sobie nawet trzewiki z pustymi obcasami na kosztowności; w hotelu było kilka par starych trzewików za które jak mówiono można było kupić pół Warszawy. Wanda Kaliska w przeciwieństwie do innych, którzy „lamali się” w hotelu, „lamala się” ze sobą w domu i do hotelu przyszła dopiero w przeddzień wyjazdu. Rozglądając się, powtarzała z wyrażonym obrzydzeniem: Nie, na to mam jeszcze czas. Zażądała od brata aby sprzedał jej miejsce „za cenę kosztów”. Kilka godzin później jako Wandę Kaliską wpisano roslą, tlenioną blondynkę (o takich mówiono, że sztandar narodowy noszą na głowie), która świeżo wyszła z bunkru w jakimś ogrodzie, gdzie dopiero po północy ogrodnik pozwał wychodzić; jeszcze mrużyła oczy, odwykłe od światła dziennego.

Daniel otrzymał adres. Teraz chodziło o to czy Kaliska żyje. Aby dotrzeć do niej musiał przejść tunel w Alejach Piwnicami i podwórzami doszedł do miejsca gdzie zaczynał się przepok — duma powstania — znajdujący się pod ogniem z dwóch stron. Dworca i z budynku B. G. K. Przekop nie był dość głęboki, to też ofiary trafiały się często. Panowała tu cisza, jak wszędzie w pobliżu nieprzyjaciela. W wypalonej bramie czekała kolejka, ruch był jednostronny. Gdy Daniel nadszedł, akurat wynosili kogoś. „To porucznik — informowano. — Nie schylił głowy i rąbił go” Teraz miał przejść dwunastoletni łączniczek w ogromnym szynelu, figurka jak z maskarady. Nie chodź malutki — odezwał się powstańca, pilnujący porządku — bo zrobisz ciębie glemz. — Nie — odparł spokojnie łączniczek i odgarnął poły szerokiego szynelu — nie wyrzucicie mnie na śmietnik.

Po drugiej stronie Alej — w Śródmieściu — Południe w przeciwieństwie do Śródmieścia — Północ, gdzie znajduje się ulica Trzech Koron — „nie znali wojny”, nie wiedzieli czym są „krowy”, w mieszkaniach meble stały na swym zwykłym miejscu, emanując spokój, który odurzył Daniela, gdy wypadło mu czekać na Kaliską. Nadeszła wreszcie i czempredziej przedstawiła mu się jako oficer Korpusu Bezpieczeństwa w sektorze kulturalnym i zapytała jaki jest jego udział w powstaniu. Daniel ze wstydem przypomniał sobie jednego z przyjaciół, który jako swój najważniejszy czyn w kampanii wrześniowej mógł pochwalić to, iż wyprowadził krowę z płonącej obory.

Wanda Kaliska wszystko chwyciła w mig. Przypomniała sobie słowa męża, że Daniel doprowadza go do szału swym brakiem decyzji, „powtarza bez przerwy zaraz i nie podnosi się z kanapy”. Wiedziała iż suma wpłacona przez męża poszła na pokrycie kosztów legalizacji, odpadała więc najdrastyczniejszy zarzut. Zgodziła się wszystko to powtórzyć przed Ipcm a nawet przed Rafałem, którego znała i nie lubiła. Dziwiła się, że walczy i dwukrotnie zapytała „Czy ma broń”. Całą sprawę określiła jako typowe nieporozumienie, co w pierwszej chwili wydawało się Danielowi objawieniem, a w następnym właściwym słowem. Pocięła go do reszty tym, że codziennie powtarza się kilkadziesiąt, jeżeli nie kilkaset podobnych wypadków. W pewnym ministrze jeden z „chłopców” poznał szpicla, który go przesłuchiwał na Szuca i minister przesiedziało się dwa dni. „Wygląda pan naprawdę, jak człowiek dotknięty ciężkim nieszczęściem. Czy to tym głupstwem pan się tak przejmuje. Czy to nie wszystko jedno, co mówią? Niech mówią. Ja wprost nie rozumiem takich ludzi jak pan”.

Daniel przez całe życie był tego samego zdania: „niech mówią”, a zaraz przekonał się, że to wcale tak nie jest. Wyraził jej swą wdzięczność za to, że chciała go bronić przed Ipcm, gdy do pokoju wszedł powstańca, krępy o kędzierzawych włosach, z rymisimi oczami, malarz, czy grafik, Daniel znał go sprzed wojny, w śródmieściu wszyscy się znają. Kaliska wdała się w rozmowę z nim, podziękowała mu za nuty, opowiedziała szczegóły z wczorajszego przedstawienia w barze Satyr. Śpiewała „Cter-

dzieści dni i czterdzieści nocy” powstańcy płakali, wszystkim się wieczór ogromnie podobał, dowództwo już montuje następny dla „chłopców”, z bogatszym repertuarem. Skończywszy te informacje takim samym głosem dodała: Wyobraź sobie, że pana podejrzejwają o współpracę z Gestapo. Już się nawet przesiedziało.

Jeśli z początku mogło się Danielowi wydawać, że — jak zwykle — przesadził, teraz stwierdził, że przecież nie było tak. Poczuł nóż w sercu, gdy padła ta drobna informacja. Wstydliva, delikatna sprawa jego duszy poszła w kurs. Podano ją dobrej woli ludzkiej. Kto chciał mógł wierzyć. Danielowi zdawało się, że nawet cofnięcie oskarżenia już nie wiele by pomogło. Człowiek oczyszczony nie jest człowiekiem czystym. Nie był zahartowany na niesprawiedliwość losu. — Naturalnie, że to bzdury — dodała Kaliska — pójdę z panem na drugą stronę. Skoczę tylko z Tadeuszem na chwilę do dowództwa.

Gdy wróciła, z jej twarzy Daniel odrazu odczytał, że nie pójdzie. Okazało się, że jednak nie wiedziała skąd wziął promesę. O, tak zwyczajnie nadeszła począł i Niemcy nie? W gruncie rzeczy Kaliscy nie mieli przecież zamiaru wyjeżdżać. Stał miał świetne mieszkanie, gospodyni była w nim zakochana, mógł siedzieć do końca wojny... Są na mieście ludzie, którzy panu mają wiele do zarzucenia. Pan się wcale nie ukrywał. Prawie codziennie widywano pana na Marszałkowskiej. Robił pan interesy ze złociarzami z Chmielnej... To są ciemności. Nikt nic nie wie, nie rozumie, za nikogo nie można ręczyć, nawet za własnego ojca. Żydzi w tej wojnie wykazali całkowity brak moralności. Aby przeżyć sprzedawali jedni drugich. Alfred Nossig, wielki człowiek, wielki umysł i konfident... No ma pan. Żydzi go sami zamordowali, Organizacja Bojowa. I co pan na to?...

Krótko przed powstaniem dziennikarz Wiórek spotkał pana na ulicy Mianowskiej. Rozmawialiście dłuższy czas po godzinie policyjnej. Wiórek nie dawał tego znać po sobie, ale nie mógł wyjść z podziwu, że pan się wcale nie śpieszy? „Cóż u diabła, taki bohater i to w okolicy, gdzie żandarmów jak psów”. Miał pan przepustkę nocną?

— Przepustkę nocną?...

Daniel nie wierzył własnym uszom. Pamiętał dokładnie to spotkanie z Wiórkiem pod jego domem, który miewał się o dziesięć kroków od miejsca, gdzie sam mieszkał, o czym Wiórek nie wiedział, bo Daniel musiał konspirować swój adres, a Wiórek nie. Był letni wieczór. Warszawa wracała i z dzieł, objuczeni grabiami, motykami, ubrani po domowemu, choć działki mieściły się niekiedy daleko. Toczyła się właśnie ofensywa w kierunku na Mińsk Litewski i Lublin. Wiórek wracał z nastrochu. Twierdził skromnie, że ma wiadomości od przyjaciela „który słuchał może pół godziny temu”. Człowiek posiadający wiadomości! Człowiek świeżo z nastrochu, relacjonujący o ofensywie, która dziś jutro mogła przynieść wyzwolenie, zdjąć koszmar z serca, z gardła, z oczu — czyż nie można było się zapamiętać?! Każda najbliższa wiadomość wydawała się rewelacją; jej nieważność widziało się dopiero potem, gdy odplynęło uniesienie. Pomimo to Daniel przez cały czas spoglądał na zegarek. Wylczył, że może poczekać, aż Wiórek kupi chleba i ogórków w sklepie, do którego schodziło się schodkami w dół, aby o coś jeszcze zapytać, bo może Wiórek czegoś zapomniał. Rozstali się na dwie minuty przed dziewiątą. Wieczór pachniał nadzieją, szczęściem. Daniel miał Niemców jak gdyby już byli niczym. Dokładnie to wszystko pamiętał i powtórzył Kaliskiej. Nie wierzyła jednemu jego słowu.

Już był wieczór gdy Daniel znalazł się po drugiej stronie Alej. Stwierdził w sobie uczucie wstępu i niechęci przed powrotem do domu i nagłą tęsknotę za Haberem, którego ledwo znał (był to człowiek, od którego otrzymał adres). Chciał nań popatrzeć i usłyszeć jego głos. Wrócił więc do Palladium. Przed kinem formował się oddział, w którym znajdował się Rosjanin Wania. Wszyscy z nabożeństwem wymawiali jego imię, jak gdyby sam jeden mógł wygrać powstanie. Młodzi i starzy wylegli z Palladium, żeby popatrzeć na Wanę, żującego coś w ustach. Daniel zeszedł w podziemie, ale Habera nigdzie nie mógł znaleźć. Rozglądając się natrafił na kobietę, która mogła mu wskazać adres człowieka równie cennego, jak Wanda Kaliska, kuzyna rodziny R. (od której „trzymał promesę”) — Adamskiego. W swoim czasie Daniel przez znajomych, bo adresu nie znał — zaproponował Adamskiemu miejsce na paszportcie: uważał za obowiązek zabezpieczyć tych wszystkich, których łączyło coś z rodziną R. Adamski przez tych samych znajomych podziękował mu za propozycję i przyjął ją. Sporo jednak czasu minęło i Adamski ani razu nie pokazał się w hotelu. Z jego zachowania się można było wnioskować, że

propozycję przyjął na wszelki wypadek. Danielowi tymczasem proponowano poważną sumę za miejsce, cała dokooptowana rodzina była za tym, ale nie ustąpił. Adamski rzeczywiście nie wyjechał. Przed ogólnym wyjazdem przysłał list z zapytaniem, co Daniel zamierza uczynić. W odpowiedzi Daniel odradzał mu wyjazd. Świadectwo Adamskiego miało tym większą cenę, że był w przyjaźni z Rafałem.

W jednej z kobiet Daniel poznał właśnie osobę, która przynosiła mu listy od Adamskiego. Okazało się, że adresu Adamskiego nie znała, tylko adres jego byłego współpracownika Kamińskiego, który mieszkał na Siennej, ale wątpiła, „czy tam w ogóle ktoś jeszcze żyje i czy coś jeszcze stoi. Mieli po trzy duże naloty dziennie.” Było za późno na Sienną ze względu na godzinę policyjną. Daniel zastanawiał się czy nie pozostać w Palladium, ale w końcu zdecydował się wrócić na Trzy Korony aby nie pomyśleli, że uciekł.

Nazajutrz poszedł na Sienną. Dom był zbombardowany tylko do drugiego piętra. W mieszkaniu zastał samego Kamińskiego, gospodarze prawie nie wychodzili z piwnicy. Przedstawił się Kamińskiemu, który jak się okazało znał dokładnie sprawę hotelową. Sam miał zamiar zabrać się z transportem „ale pewnego poranku w łóżku, przeszła go myśl, że jest to przecież stary niemiecki kawał, wygrany już sto razy w Holandii, Bułgarii itd.” i zrezygnował. Zgadali się i okazało się, że Kamiński miał zdrowe poglądy na wiele spraw, tak że ośmielił Daniela. Przewidywał klęskę powstania i już przemysłował „nad mieszkaniem ze skrytką”. Na Siennej nie chciał zostać, za dużo osób wiedziało o nim. Wreszcie Daniel przedstawił mu swoje dolegliwości; ostatecznie świadectwo Kamińskiego również mogło mieć wartość, tym bardziej, że Adamski, wedle przekonania Kamińskiego „najprawdopodobniej już nie żył”. Daniel poprosił go, żeby się z nim udał do Ipa. Zdumienie Kamińskiego nie miało granic: Wyjść z tego mieszkania na podwórce? Na ulicę? Pomędzy te szakale? — Jakie szakale? — Pomędzy tych szmalcówników — Jakich szmalcówników? — Żeby w przyszłości już żadnych wątpliwości nie mieli? Świadczyć? Po co świadczyć? Przecież Daniel jest wolny? Po co siedzi na Trzech Koronach? „Szmalce” tam zostawił? Po co wleczysz się po mieście? Szuka alibi? Alibi w konającym mieście? „Trzeba rzeczywiście mieć źle w głowie! Na Trzy Korony nie powinien wracać, bo tam istotnie mogą go dmuchnąć. Żeby tak szaleć... Daniel doszedł od wniosku, że żadna siła nie ruszy tego człowieka z miejsca, więc wstał i wyszedł.

Sześć dni szukał Adamskiego. Szóstego dnia znalazł się znów na Siennej. Ledwo minął barykadę ułożoną z sekacyjnych piaków — z boku zostawiano zwykle przejście na szerokość człowieka — gdy usłyszał „krowę”. Rozum nakazywał schronić się do domu, ale instynktownie skoczył naprzeciwko do ruin. Podmuchał ciałną nim o ziemię. Trzy płomienne gałgany przewaliły się w powietrzu, dom płonął. Było nuda! tak samo jak od lat. Ktoś ginał, bo poszedł na prawo, drugi poszedł na lewo i ocalał; nazajutrz było odwrotnie. Ponieważ znów rozległo się granie powietrza, schronił się do jakiejś piwnicy. Ze zniechęcenia stracił prawie przytomność. Gdy wrócił do sił i oczy jego oswoiły się z ciemnościami stwierdził, że obok niego siedzi Kazio Anioł, Kazio Spowodu. Przed wojną był to młody prawnik, dorabiający sobie grą na banjo i śpiewem w lokalach Sodomy i Gomory, jak mówiła jego matka. Z lokali tych Kazio dzwonił do niepokojącej się matki: Spowodu się stale niepokoisz? — Spowodu — żaliła się matka znajomym. — On ma dwadzieścia lat a Birnowa czterdzieści, to dlaczego są stale razem?... Kazio Spowodu przez Sodomę i Gomorę wśród okrutnych lumpów i okrutnych dziwek płynął gołębio biały, gołębio niewinny. To co ongiś składało się na wizerunek tego chłopca było tak odległe od dzisiejszych trosk, że się w głowie nie mieściło. Na moment Danielowi zaleciało wieczorami na Hipoteczną, oświetloną Wisłą, śliczną Openheimówną, treścią krzywymie zmytymi „ciężką wodą historii”. Daniel przyglądając się Aniołowi, który od dzieciństwa lat prawie się nie zmienił, był tak samo łysy przy dwudziestu latach jak dzisiaj — nagle coś sobie przypomniał: Słuchaj jak się nazywa twój współlokator? — Adamski — odparł Anioł. — Jak to Adamski? — Adamski — Kazio Anioł zniżył głos — Janek Rotman przed wojną. — Niemożliwe! — wykrzyknął Daniel.

W ciągu sześciu miesięcy Kazio Anioł zmienił jedenaście razy mieszkanie. Bez wielkich widoków sprowadził się na dwunaste przy ulicy W. Z początku było piękno. Gospodyni stała: A gdzie pan mieszkał? Gdzie pracuje? Gdzie rodzina? Zupenie bez rodziny? „Człowiek mieszkał gdzieś uprzednio ale mieszkanie „spaliło się”.



Ostatni meldunek był prawdziwy i lipny zarazem. „Człowiek“ pracował, ale tylko na papierze. Rodzina? Skąd człowiek miał wziąć rodzinę. — Był przekonany, iż dłużej niż dwa tygodnie i tym razem nie posiadzi. W pozostałych pokojach mieszkali jakiś nobliwy pan, i jakaś blondyneczka „również z masłem na głowie“ to stwierdził od pierwszego wejrzenia, ale z tamtymi staruszką zdążyła się oswoić. Krótko, z początkowego piekła, wytworzył się raj. Obie kobiety — prócz matki, była jeszcze córka po czterdziestce — żyły się ze swymi domownikami, Helenę świętowano przez cztery dni, po Helenie miłość ogólna wzrosła. Daniel naraz przypomniał sobie wszystkie te szczególne opowiadane mu kiedyś przez Anioła.

Postanowili, że wrócą razem. Anioł miał wstąpić na Złotą. Na rogu Sosnowej płonęła fabryka Kowalskina. Ludzie ładowali w co się dało proszki od bólu głowy. Przybywali z trzeciej ulicy i z przejętymi twarzami informowali jedni drugich, że można brać, że dają bardzo chętnie. O kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymał ich patrol powstańczy. Dzikowski — odczytał z Kennkarty wysoki powstaniec w czapce z legionu afrykańskiego Remmla — prawdziwe nazwisko? Mieszkał pan w Otwocku? — Przed wojną. A podczas okupacji? A może ma pan kuzyna o tym samym imieniu i nazwisku? Nie? — W Otwocku — powstaniec zwrócił się do swego towarzysza — postrachem naszym był Dzikowski, wściekły pies, fok, gestapowiec. Władze podziemne wydały dwa wyroki śmierci na niego. — To nie pana kuzyn? — zwrócił się do Daniela. Nie, a może to pan sam? Daniel czuł, że blednie. W końcu powstaniec zwrócił mu Kennkartę.

— No masz, jeszcze raz to samo — opakował Anioł. Szli piwnicami, Anioł opowiadał: Kiedyś przychodzi do mnie i płacze. Panie Kaziu, ja dobrze wiem, że panu przyniosą gazetki do domu, ale błagam, niech pan czyta na mieście, pan nam później opowie. Ja mam jedyne dziecko, nie chciałabym go stracić. — Kto, Adamski? — Nie, stara Mortimerowa, moja gospodyni. Potem już sama codziennie prosiła o gazetki. Zapaliła się kochana staruszka. Dopiero teraz wyszło na jaw, że „jedyne dziecko“ to oficer sztabowy, który trzymał w domu setki tysięcy złotych, szyfry, plany, ale gazetki również „jedyne dziecko“ nie pozwalało mieć w domu. Mówię ci, ogólna komedia. Powiedziała mi stara, że nigdy w życiu się tyle nie uśmiecha co z nami ostatniego roku. Wszyscy byliśmy stale jak po pogrzebie. Panie Kaziu, czy pan się nigdy nie nauczy smażyć kotleta wieprzowego, żeby nie narobić takiego wstępu w kuchni. Kiepski będzie z pana mąż. Najlepszy mąż to Mańkowski. Przepada za kaszą krakowską. Od dwudziestu lat żopa karmi go jakimś świństwem, a on jest przekonany, że to kasza krakowska. Pan to się już nie da oszukać. A to nie dobrze, bardzo nie dobrze. — A Adamski zapytał ponownie Daniela? — Tam była jakaś tragedia, mówię o moich paniach. Stara bardzo kochała męża. Zginął. Młoda źle żyła z mężem, w końcu rozeszła się z nim. Obie pozostały same, bo dalsza rodzina to się przecież nie liczy. Naraz zjawia się w domu troje ludzi, porządnych, towarzyskich i pokornych — najlepsza rodzina jakąbyś wymyślił. Dużo było takich rodzin za okupacji. — A Adamski co to za człowiek? — zapytał po raz trzeci Daniel. — Tym razem Anioł odpowiedział: Ja go nie lubię. Po co zatajasz głupcze? No tak, lepiej, ale skoro on wie o mnie i o Zosi? Przytem drobniagowy, pedant. Głupcze, widziałeś przecież co są warte ciuchy, domy, ziło. Oszczędza, do końca wojny, mówi, daleko. Otrzymał list z prowincji. Donosili mu, że całą rodzinę wymordowano w lesie. Byliśmy akurat sami ja i on. Siedział w fotelu i płakał. Stałem nad nim, widziałem jak kark mu drżał. Trudno stać nad kimś płaczącym żeby go nie pogłaskać, nie ucałować. Nie mogłem. Widziałem tylko jego ręce o krótkich palcach, w których miał chusteczkę. Widziałem tylko te krótkie paluchy.

Na Złotej za duże pieniądze i „po znajomości“ Kazio Anioł kupił torebkę makaronu, torebkę „Jasia“ i butelkę wina. Daniel pomyślał iż w całym powstaniu nie było dla niego ani jednego rowego wiersza. Wszystko znał stamtąd. Widział już ementarze na podwórzach, ludzi zamkniętych się z pajdką chleba w wychodku, aby uniknąć zawistnych oczu, ludzi o przeźroczystych z głodu oczach, ludzi oblapających się jawnie, aby w ostatniej chwili jeszcze poczuć smak ud kobiecych, ludzi plaćących świnkami za chleb, wydubujących brylantki z kłoli, aby zapłacić za jajko, za słoninę... Ta epopeja mogła go kosztować głowę, ale nie mogła go niczym dziwić... Dwie godziny zajała im droga na ulicę W. Życie to strzępy scalone, uformowane. Śmierć to rozkład całości na śmiecie. Męstwo było jak jeden wielki śmietnik, emen-

tarz i śmietnik. Domy, kawaly domów leżały w poprzek jezdní, wszędzie pagóry gruzu, miało, rozbitego szkła, jakieś kubły, jakieś szmaty, jakieś meble, wszystko razem w oślępiającym dusznym słońcu sierpniowego południa. Gdy dotarli do ulicy W. wróg zaczął okładać ją ogniem z dział kolejowego. Z początkowych numerów gdzie mieszkał Anioł, właśnie stamtąd biegły przez rażone postacie, całe w popiele i pyłe, prócz oczu nie było w nich nic ludzkiego. Chodnikiem biegła kobieta w cienkiej sukience, po której ślizgała się strużka krwi. Włosy tej kobiety były szare jak pytel. Robiła wrażenie obłąkanej. „Zosiu, Zosiu — wrzasnął Anioł. Kobieta chwilę spoglądała na mężczyznę, który chwycił ją w ramiona, nagle drgnęła i krzyknęła histerycznie: Tam! Tam! Nie żyją... Adamski nie żyje!...“

## IV.



libi było stracone. Widział je wyraźnie, dotykał niemal rekami czynników, które ustalały jego los: porywcość Rafała, żądającego rachunku za śmierć narodu, brak zęgarła dziennikarza Wiórka, brak charakteru Kaliskiej, niechęć jej przyjacielu, tchórzostwo Kamińskiego, w końcu śmierć Adamskiego. Drobne lub znaczne czynniki te decydowały w jednakowej mierze. Lecz nad wszystko nie dawał mu spokoju ból serca, niepokodzonego z myślą, iż choć jeden człowiek na świecie wyrzucił tym strasliwym podejrzeniem. Każdy krok pomnażał szansę śmierci. Nad ulicami krzyżowała się artyleria najrozmaitszego kalibru, barykady i ruiny, pagóry i jamy wszystko co składało się na ulicę znajdowało się stale pod tuszem ognia. Kilkakrotnie zasypało go, ale nie mógł wymóc na sobie zaprzestania poszukiwań. Co raz to przypominał sobie jakichś innych znajomych, których świadectwo mogłoby mu się przydać. Ale ludzie ci zachowali się albo tak jak Kaliska i Kamiński, albo już nie żyli, jak Adamski.

Kamień na kamieniu nie pozostał z ulic, które były bliższą ojczyzną Daniela — z dzielnicy północnej, teraz reszta miasta rozpadała się w gruzy. Spodziewano się tego, latami przeprowadano los, który się właśnie dopełniał. Z narodu do powstania pozostały tylko szczątki, teraz również i te szczątki ginęły. Prawdopodobnie nikt spośród tych których nazywał niegdys bliskimi nie wyjdzie żywy z powstania. Naród już się nigdy nie pozbierze, nie będzie nawet komu odmówić modlitwy za umarłych nad grobem, którym będzie to całe niepochochowane miasto. Śmierć szalała, zmarli byli główną częścią życia, które konało. Wyglądało na to, iż zostanie jedno wielkie gruzowisko, nadziane śmiercią tak że nie będzie nawet komu ocenić bohaterstwa zmarłych, czy ich upadku, ich zbrodni, czy niewinności. Więc — zapytywał Daniel sam siebie w imię czego te wysiłki? W imię czego wzywał śmierć gnając z jednej ulicy na drugą?

Nie stracił bynajmniej poczucia miary, chwycił rozmiary katydzizmu, jednak nie osłabiał one bólu związanego ze sprawą własną w ogólnej klęsce, w tym ogólnym końcu świata tak przecież drobna! Nie umiał uspokoić bólu serca i nie umiał żyć z tym bólem serca. Aby umrzeć spokojnie, musiał się wpiereg oczyścić. Należało do zatawardziały samotników, przywiązanych do swej samotności, do swej izolacji, o bardzo małej potrzebie ludzi. Gdyby go zapytano z czym zdaniem się liczy, nie umiałby wskazać nikogo. A jednak potrzeba mu było oczyszczenia właśnie od tych z którymi się nie liczył. Potrzeba mu było rozgrzeszenia doczesnego. Było mu ono więcej niż potrzebne. Nikt nie wie jak dalece jest ono nieodzowne, póty nie zostanie mu odmówione.

Idący na śmierć nie prosili o łaskę. Nie patrzyli na Niemców jak na ludzi, tak samo jak Niemcy na nich. Daniel pamiętał te długie, nieme pochody, ożywione ostatnią nadzieją, że kiedyś czyste słowo z czystych ust popłynie skargą przed światem i ludźmi. Daniel pisał, miał za sobą dwa tomiki wierszy. To posądzenie odbierało mu prawo słowa, przekreślało go zarówno w przeszłości, jak i na przyszłość, przekreślało jego przeplakane noce, noce miłości i noce nawiści. Nie umiał się z tym pogodzić. Mówił sobie: Ponieważ nie zostanie nikt z tych, co go znali i kochali, nie będzie komu go oczyścić. Ostatnimi latami najbardziej obawiał się tego właśnie aby nie umrzeć w brudach. Każda chwila, powtarzał sobie, może być ostatnią, więc zachowywał się jak w ostatniej chwili. Wychodząc z domu dbał o to, aby bliskim nie pokazać ziej twarzy, nie rzucić słowa, które mogłoby ich boleć, bo nie wiadomo było czy wróci. W Hamlecie Klaudivsz nie chce zabić modlącego się króla. Daniel w tym momencie, gdy dosięgnie go śmierć, chciał być czystym

wewnętrznie i czystym wobec tych, których los postawił blisko niego. Była to prawdziwa obsesja ostatnich lat. I oto doczekał się...

Te dni poszukiwań zmieniły go. Jego odważa, nie to, że wzrosła, co innego w nim się działo. Wyrzucony z nurtu powszechnego, uwięziony w pomyłce czuł się sam na świecie. I dopiero teraz poczuł życie. Jak nigdy dotąd kochał je. Zdawało mu się, iż rozumie je jak nigdy dotąd. Bał się śmierci znacznie mniej niż dawniej. Strach nie zjadał go tak, jak innych. Nie biegał na lew, na szyć, gdy rozlegało się mruczenie samolotów. Strach nie odbierał mu rozum, ani godności. Pewnego razu zabrano go z ulicy do gaszenia pożaru w sąsiedztwie składu z materiałami palnymi. Obstrzał trwał, lada chwila mogli wylecieć w powietrze. Wokół niego gaszący z nienawiścią spoglądali na powstańców zmuszających ich do tej beznamiętnej czynności. Daniel ze zdumieniem stwierdził, że nie czuje nienawiści do nikogo, a samą czynność nie uważa za mniej od innych pozbawioną sensu. Któregoś dnia zapalił się strych pod dwudziestym drugim na ulicy Trzech Koron, lada chwila mógł cały dom stanąć w płomieniach. Żandarmi nie kwapili się ratować, wychodząc z podwójnie służnego założenia, że dla nich zawsze się znajdzie pomieszczenie gdzie indziej i że ratowanie domu w pierwszym rzędzie należy do lokatorów. Ci długo nie mogli się zdecydować na opuszczenie schronu, „krowa“ bowiem ryczała nadal, a granatniki były. Kapitan Ip wbiegł do stolarni z dobytym rewolwerem. Przez dwa następne dni mieszkańcy nie mogli się dość chwalić Daniela za jego udział w tłumieniu pożaru. Nie rozpięły go kwasy, nie czuł w sobie drażliwości, widocznej u innych, przeciwnie, był wyrozumiały dla małości ludzkiej, uzasadnionej tysiącem powodów, którym on już nie podlegał. Zrobił się nawet pogodniejszy, niż dawniej, oddzielnie toczyło się życie świata, oddzielnie zaś jego. Więzy łączące go ze światem tak wiecznie rozdzielenie, miały spokój galezi, obłożonych grubym ochronnym śniegiem.

## V.



dy już z ostateczną decyzją wrócił pod dwudziesty drugi, żandarm ledwo go wpuścił. Na podwórzu było pusto. Mieszkańcy skupili się w oknach, na coś wyraźnie czekając. Udał się do mieszkania Zyberty i przyłożył do sporej gromadki przy oknie. Zyberty, który stał przy drugim nie zdradził najmniejszego ożywienia na jego widok.

Daniel ku własnemu zdumieniu poczuł teraz taki sam ból, jak wtedy w stolarni choć zdawało mu się, iż w ciągu ostatnich dni zrozumiął więcej, niż przez całe życie dotąd. Reakcja własna ciągle chowała dnia niespodzianki. Był inny sam z sobą, inny z ludźmi. Jak zwykle samotnicy.

Oczekiwano jeńców z Cedergrena, który poddał się rano. Po krótkim czasie wprowadzono ich. Niemcy wyrzuli się z ciennej wnęki bramy i wchodzili w światło podwórza z rękami skrzyżowanymi na karku. Było to wojsko już tylko z nazwy: bez bluz, bez czapek, bez butów, w samych onucach na nogach, roztrzęsieni, brudni, zaróżnieni, ze skrzywionymi twarzami, z przeżaniem w oczach — gówno ludzkie, szajs, jak lubili nazywać innych. Z psią uległością podawali się rewizji i szczęśliwi, gdy ominął ich kopniak, uciekali w kierunku wskazanym przez żandarmów — do aresztu. Mieszkańcy naliczyli stu pięciu jeńców.

Po niewielu minutach kapitan Ip zażądał ich znowu: Wyprowadzono po kilku. Podporucznik Filozof, nie duży zmięty, grzbiły typ zadawał im pytania po niemiecku: Bist du SS?, które za każdym razem Ip przerywał mu po polsku: Jesteś SS? No, widzi pan panie Bolku, rozumiesz po polsku. Co pan mi głowę zawraca... Po polsku rozumie przed wszystkim ci, którzy mogli odpowiedzieć Wernacht albo Post. SS-manów poznawało się od razu po świetnych bryczesach (często do bosych nóg). Wobec tych jeńców, którzy nie mieli ani bryczesów, ani legitymacji Ip podnosił groźnie głos: Jesteś SS? Zaraz prawdę mi tu powiedz! — Ja nie SS, ja Ukraińiec! — krzyczał krępowy brunet w keszuli, krzyczał całym sobą. Otrzymał dwa razy w zęby. Nienawisć do „chachłów“ po tem co wyrabiali na Woli była jeszcze większa, niż do Niemców. Była to nienawisć do zdrajców, o których ten obrońca Cedergrenu prawdopodobnie nie wiedział, że wojnie jak w życiu płaci się i za to czego się nie wie. Przyznało się trzydziestu siedmiu SS-manów. Nie przeczuwali czym to grozi. Ustawiono ich twarzą do muru, każąc ręce złożyć na karku. Mieszkańcy wiedzieli, że tych trzydziestu siedmiu skończy w runach hotelu „Victoria“ z ręki porucznika Karola, który lubi zabijać Niemców. Miał ich osiemdzie-

sięciu trzech na rozkładzie. W najbliższym czasie jego rachunek ładnie podskoczy.

SS-manów odbrowadzano z powrotem do suteryn, reszcie natomiast pozwolono usiąść. Prosimi zamierającym głosem, Wasser, Wasser, więc dano im wody. Otoczeni w Cedergrenie od tygodnia nie mieli co jeść. Trzy dni temu powstańcy odcieśli im wodę i brak wody rozstrzygnął walkę. Pili długo i wolno. Siedzieli tutaj na kamiennym podwórzu, uznajeni nad wyraz, lecz spokojni, o ludzkim spojrzeniu i ludzkich twarzach. Musieli osiągnąć tę granicę nędzy, aby ich twarze odzyskały ludzki wyraz. Dano im coś do zjedzenia, a któryś z powstańców rzucił im papierosa. Ip chędnij naokło i przez Filozofa pytał, czy mają jakieś życzenia. Powstaniec inne przepisy miało dla SS-manów, inne dla reszty armii niemieckiej.

Siedzieli więc tutaj — ścinaćce głów, mordercy dzieci, specjaliści w wytapieniu tuszczu z ludzi, specjaliści od krematoriów, mistrze w urządzaniu egzekucji publicznych, likwidacji „przesiedleń“, podpalacze miast, niszczylicie dobytku wieków, siedzieli tu ci milionowi mordercy i nareszcie można było wziąć na nich odwet za zbrodnie nadal trwające, za krowy i bomby, które bez przerwy rozrywały brzuchy i domy. A jednak mieszkańcy oddechli, gdy okazało się, że Ip zezwala być ludzkim. „Naszemu oni wody by nie dali“ mówili między sobą, ale bardzo chwalił Ipa za jego postępowanie. Tylko Jadwina była niezadowolona: Cóż mi winna, że są Niemcy. Ja na przykład jestem Rosjanką, a że przybywam w Polsce jestem Polką. Na pewno są lepsi od Baka...

Czterech młodych chłopców, którzy przyprowadził Niemców, kazano im wstać, ustawić się trójkami, po czym ich wyprowadzili. Piąty powstaniec z konwoju pozostał. Przez cały czas siedział w bramie od głównych podwórzowych schodów przyglądając się czynnościom Ipa. Tylko raz jeden wstał i zwrócił uwagę kapitanowi na jeńca włączanego do partii Wernacht i Post. Okazało się, że miał na sobie dwa mundury, był to właśnie ów Ukraińiec. Potem konwojent usiadł znowu i nie ruszył się nawet wtedy, gdy towarzysze wyprowadzili Niemców. Czekał widocznie na coś od kapitana, bo ten od czasu do czasu dawał mu znaki. Z konwojenta tego lat około trzydziestu pięciu o upartej twarzy Daniel nie spuszczał oczu, był to właśnie oskarżyciel Rafał Ochocki. Kilka razy zbierał się by zejść, ale za każdym razem coś go powstrzymywało. Ludzie odchodzili już od okien i zapiełnili podwórze. Daniel pozostał sam w pokoju. Wreszcie zdecydował się. Zeszedł frontowymi schodami, które w powstaniu prawie nie były w użyciu. Panowała tu cisza, cisza panowała również w sieni, gdzie Daniel przystanął i zdobywszy się na odwagę, zawołał cicho:

— Rafał!

Konwojent widocznie nie dosłyszał. Po chwili Daniel zawołał głośniej:

— Rafał!

Powstaniec wetknął głowę, a stwierdziwszy kim jest człowiek, który go woła, wstał z miejsca, bez pośpiechu.

Oskarżony i oskarżyciel przecisnęli się przez otwór w murze, wiodący do szopy, która należała do innego domu. Stały tu dwie beczki ropy i kilkadziesiąt rolek papy — idealny żer dla „krow“ i bomb zapalających. Stwierdzono to już sto razy, ale nie się nie dało zrobić, nie było gdzie chować. Szopa była rozległa i chłodna, światło wpadało tylko przez nawię otwarte, rozsuwane drzwi; pod tymi drzwiami metr nad ziemią wisiał drewniany pomost, z którego schody prowadziły na drugie podwórze, gdzie tydzień temu spłonęła jakaś wspaniała biblioteka, pełna białych kraków. Panowała tu cisza. Do szopy rzadko kto zachodził, w powstaniu nikt nie szukał samotności. Usiedli w kącie na skrzyniach.

W ostatnich dniach Daniel często mówił o sprawach hotelowych na początku ze wstydem, potem sam zaczynał. Za każdym razem miał wrażenie, że nic z tego nie do-ciera do uszu słuchających. Stwierdzał, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent słów można było w ogóle nie wypowiadać bez straty dla kogokolwiek. Świat mógł się toczyć jak niemy film, to co słyszał było wyrazem dokuczliwości, kwasów, nieporozumień i głupoty.

Teraz mówił znowu, znów tłumaczył siebie i wypadki hotelowe. Stwierdzał, że był brutalny. Nie zatajał uczuć, które lepiej by było zataić. O niektórych swych przeżyciach rozumiał, iż lepiej nie mówić. Ale ból zbyt ostry na skutek posadzenia wywlekał je.

— Rafał: Zawsze lubiłem wygodę. Zawsze stałem po stronie silniejszego...

W pamięci Daniela ożyła scena z hotelu na Długiej. Załatwieni, ci którzy mieli paszporty zalegalizowane, otrzymywali na piętnaście mniej więcej osób jeden pokój z dwoma łózkami. Nedza sypniała w koryta-



rzu i na schodach. Daniel w tym okresie nie spał w hotelu, ale raz musiał zostać, bo gestapiści przychodzili na północy i wtedy zaczęli urzędowanie. Około drugiej wywołano Daniela jako prawowitego właściciela paszportu. W płaszczu narzuconym na białinę przechodził przez korytarz gęsto usłany śpiącymi. Musiał bardzo uważać, aby nie rozgnieść komuś brzucha. Leżący pomrukiwali. Naraz jeden z nich pod samą lampą uniósł się i wpił swoje wylupiające oczy w Daniela: Rafał Ochocki, Daniel odczuł wtedy coś zawstydającego w tej swojej przewadze człowieka załatwionego z prawem do spania w pokoju, a nawet w łóżku.

Rafał był synem słynnego rabina Dona Ochockiego, złego, gniewnego Dona, rosnącego, jak chłop syberyjski. Przed pierwszą wojną światową „dwór Ochocki“ należał do najgłośniejszych w Kongresówce. Zawia- dowca stacji w dwóch wypadkach zwlekał z daniem sygnału do odjazdu, kiedy spóźnił się hrabia Zdzisław i „rudy gbur“ Don Ochocki. Jeden z wiedeńskich Rotszyldów doświadczył tej gwałtowności na własnej skórze. Podczas uczytu noworocznej siedział po prawej ręce Dona, któremu twarz jego musiała się przestać podobać, bo złapał go się udko, zwane pulką, zrzucił wiedeńskiemu Rotszyldowi jego bankierskie Borsalino i zaczął go tłuc po głowie. Antagoniści mówili o Donie, jako o gburze i okrutniku, wyzbytym bojaźni bożej. Pomimo to nie było na jego „dworze“ świąt wielkanocnych bez tysiąca wiernych, a Wielkich Jesiennych świąt bez dwóch tysięcy przybyłych z najdalszego świata, aby popatrzeć na wylupiające, niebieskie oczy, rude włosy i ptasi dziób Dona. Wszystko to wziął po ojcu Rafał. Bywało, iż wznawcy zrażeni do Dona pojechali na święta gdzie indziej, zawsze jednak wracali.

Jeśli na Wielkanoc do Ochockiego zjeżdżało tysiąc, a na Nowy Rok dwa tysiące wiernych, jeśli do stołu świątecznego nie zasiadało nigdy mniej jak dwieście, tuzinta osób, to na dworze Dzikowskim w podobnych okolicznościach cyfry te dochodziły zaledwie do połowy podanych. Dwór Dzikowski był skromniejszy, cichszy, a Szymon Dzikowski człowiekiem całkiem innego pokroju niż Don Ochocki. Rudy Don uchodził za nieuka, Szymon Dzikowski służył z uczonością i zamiłowaniem do ksiąg. Wstawał do nich o pierwszym brzasku i piekarz Anszel Żyto, który właśnie wtedy kładł się spać mówił, że nawet car nie zasypia przy muzyce równie upajającej. Dzikowski modlił się noworocznie w całym kraju uchodził za modlitwy o nieprześcięgniętej słodyczy. „Ręce myć w rosie porannej, a duszę w Dzikowie“, mówili wierni Szymona. O rudym Donie opowiadano, że w zimowe poranki kapie się w przerebli. Szymonowi Dzikowskiemu wystarczałaby jedna taka kąpiel, był to człowiek delikatny zarówno pod względem zdrowia, jak w stosunkach z ludźmi. Daniel był jego najmłodszym synem. Miał oliwkową cerę Dzikowskich, sarnie oczy, całą twarzyczkę jak mordka sarnia, był podobny do swego ojca jak Rafał do swego.

Pierwsza wojna światowa spaliła oba dwory, a gdy minęła nie zostawiła warunków na ich odbudowę. Zarówno Ochocy jak i Dzikowscy ścignęli do pięćdziesięciotysięcznego H. o odszetku wiernych wystarczającym jedynie do wegetacji; z zagranicy już rzadko kto przyjeżdżał. W czteropokojowych mieszkaniach „dwaj wielcy“ żyli, wychowywali, pocieszała, przy tym na Ochockiego właściciel domu stale narzekał, a to, że nieporządku na schodach, a to, że stropy kiedyś się ugną pod tłumami, a to znów, że ubikacje stale zatkałe. Groził sądem. Nie odważył się jednak wystąpić, bo nikt by mu ręki nie podał. W mieście H. wyrastali razem dwaj synowie dwóch linii, związani ze sobą tym wszystkim czym wiązały wczesne najpiękniejsze lata. Oddawali się marzeniom o życiu, świecie, narodzie i swej przyszłej w nim roli. Daniel był młodszy o kilka lat, w tym okresie lata mają inną wymierność, to też stroną górującą był Rafał, który wcześniej ruszył w świat i wcześniej go „podbił“. Wyzwolony autor płomiennych artykułów, zamieszczanych w prasie w każdy piątek to był właśnie Ochocki. W H. wiadano kto ukrywa się pod tym pseudonimem. Cały światek skoncentrowany wokół dwóch domów, pałacjonował się tymi pracami, zwłaszcza młodzie, stojąca na pograniczu dwóch kultur, „europeizująca się“, jak wtedy mówiono. Od kąd Rafał stał się osobą publiczną, jawnie drwiąca ze wszystkiego czego bronili ojciec, dom był dlań zamknięty. Przyjechał tylko raz jeden na pogrzeb matki, nawet nie na sam pogrzeb, bo ci co mieli go zawiadomić, zwlekali do ostatniej chwili. „Rudy gbur“ był wciąż groźny i spotkanie mogło się skończyć tragicznie. Rafał przyjechał już po pogrzebie. Po odbyciu pokuty dąszo do rozmowy pomiędzy ojcem a synem. Zaczęła się spokojnie. Stary kazał sobie powiedzieć

o czym piszą odszczepieńcy. Syn przeczytał mu rzecz „Kabalisci“. Stary wysłuchał uważnie i zapytał o range autora. — Najwyższa. — Woda — ocenił starzec — szczerą wodą. Napewno jadł już o drugiej godzinie w Sądny Dzień, pisze o nie swoich rzeczach, dębnie w nie swojej dziurce. A ty nie widzisz, że to woda, a ty nie słyszysz, że to cymbał? I dla takich głupstw dajesz upaść Ochockiemu dworowi... I wyrzucił syna.

Daniel odprowadził go wtedy na dworzec, sam jeden; umiał ocenić gest przyjaciela przy którym nie czuł się panem swego głosu. Towarzyszył legendzie i tak to właśnie czuł. Rafał mówił, że do końca trzeba walczyć z ciemnością, że naród trzeba wyciągnąć z zabobonów i dać mu kulturę; kultura to było wielkie słowo w owych czasach. Wreszcie powiedział, że jeśli Daniel chce opuścić H. to mu pomoże. I pomógł. Patronował jego pierwszym krokiem u głośnego Bochnera, zmusił Bochnera do zajęcia się Danielem, potem Daniel już sam płynął. Lekko, szczęśliwie. Zawsze lubiano go ponad zasługi w przeciwnieństwie do Rafała, którego nikt nie lubił.

W roku 1937 z wielkiej podróży po świecie Rafał Ochocki wrócił z planem, który wszystkim rozsądnym ludziom w Polsce wydawał się obłudnym i to szkodliwym. Rafał wystąpił w prasie najmniej ni więcej jak za masową emigracją Żydów na Daleki Wschód, gdzie według niego istniały ogromne możliwości rozwoju. Starał się planem swoim zainteresować czynniki rządowe. W M.S.Z. dopuszczono go do naczelnika wydziału wschodniego, któremu starał się otworzyć oczy na korzyści jakie ta emigracja przyniesie Polsce. Nie tylko odciąży handel, ale ci co wyjadą jeszcze przez długie lata będą związani z krajem i przy ich pomocy handel zagraniczny ruszy jak nigdy dotąd. Ow naczelnik, sam dziennikarz, z miejsca napisał artykuł o nastrojach nurtujących „ulicę żydowską“. Póki Rafał pisał o tych planach w żydowskiej prasie traktowano go jako szkodnika niedużego kalibru. Po artykule naczelnika podniosła się burza. Całą akcję nazywano zbrodnią, wysługiwaniem się antysemitom, aprobatą pogromów, pikiet i tp. Aby go ośmieszyć wyłapywano najdrastyczniejsze miejsca z jego artykułów na temat psychologii dwóch społeczeństw. Rafał pisał: Oba społeczeństwa idiocją. Polakom wydaje się, że prócz uboju rytualnego nie ma ważniejszych zagadnień na świecie. Żydom wydaje się, że życie polega wyłącznie na walce z antysemityzmem. Antysemityzm jest jedyną filozofią polskich durniów, walka z antysemityzmem jedynym zadaniem żydowskich aktywistów. Żydzi kłisną w kraju, który należy do najtragiczniejszych, najsmutniejszych i najgłupszych na kuli ziemskiej. Wszyscy przeprowadzają noc długich noży, a wszyscy siedzą na urywniakach. Mówią, że Żydzi są mądrym narodem. Nieprawda! Narodem idiotów. Nigdy przedtem nie zainteresują się komu oddają swoje zdolności, nie sprawdzają gruntu, dają się zażyć, by dać się wypluć. Jeśli Żydzi nie mają charakteru to niech ich diabli wezmą! Miejsce tutaj jest skażone. Przekonają się o tym niestety za późno...“ Artykuły te nikomu się nie podobały. Nikt ich nie bronił. Daniel zwalczał je jak najostreż. Mało, akurat przechodził chorobę złośliwości i odpowiedzi swoje fałszował aluzjami na temat „dworu Ochockiego“ i „rudego gbur“.

Oskarżenie, nawet niesłuszne wydobywa dawne grzechy. Daniel był niewinny w sprawie rodziny Kaliskich, ale czy był niewinny w ogóle? Oskarżenie wzmagą poczucie odpowiedzialności i jak wszystko co spycha w głąb, wyczuła człowieka. Istnieje stan winy, jak istnieje stan łaski. Daniel żył w stanie winy. I on to gnał go z ulicy na ulicę.

Rafał:

— W roku 1937 byłeś przeciw emigracji. W hotelu Polskim za. Oddałeś ostatnią posługę narodowi...

Daniel przypomniał sobie, że szoferzy, którzy odwozili Żydów na dworzec gdański pytali jedni drugich: No oddałeś już ostatnią posługę Żydom?

Milczał. Po dłuższej chwili zapytał:

— Chcę wiedzieć czy złożyłeś oskarżenie? Czy masz może zamiar złożyć? Wracalem tu codziennie, spodziewając się twe go oskarżenia. Nie chciałem, aby mówiono, że uciekłem. Dzisiaj wróciłem po raz ostatni. Chcę opuścić ten dom, ciężko mi tutaj. Fcz- czarowałem Zybarta, wiem. Miałem u niego na przechowaniu kilka drobnych przedmiotów ze złota. Jest przekonany, że kupiłem je za pieniądze Kaliskich i tych biednych ofiar, które gestapiści samowolnie dopisali do mojego paszportu. Jeśli mam jeszcze jeden choćby dzień życia przed sobą, potrzeba mi innych twarzy. Spotkałem przyjaciela z którym chcę być razem. Wróciłem po to tylko aby zakomunikować Ipo-

wi zmianę adresu. Uważałem się za twoje- go więźnia, za jego więźnia, ale to prze- cież nonsens. Chcę wiedzieć czy masz za- miar wnieść oskarżenie.

— Nie — odparł Rafał. — Spotkałem kogoś, kto wytłumaczył mi wiele z tej sprawy... Złość mnie rozsada, ilekroć myślę o historii zagłady. Wszyscy jesteście winni. Wszystkich trzeba ukarać. Wszyscy musimy nauczyć się szacunku dla elementarnej moralności. Wydaje się nam, że jesteśmy czymś więcej niż inni na świecie. Jesteśmy czymś najmniej... Atmosfera tego hotelu! W przeddzień śmierci sprzedawali jedni drugim. W przeddzień śmierci nie obcho- dziło ich nic prócz... pustych obcasów. Nie mogę o tym wszystkim myśleć spokojnie. I ty w środku... Piękne spełnienie marzeń młodości...

Po chwili:

— Znalazłem się tam, aby odwieść Ka- liskich, niestety. Potem zaproponowano mi jako „zasłużonemu“ darmowy wyjazd. Miałem jeszcze odrobinę godności, godności, która była po prostu rozsądkiem. Wycho- dziłem z tego hotelu, jak w grób...

Po chwili:

— Oskarżając wierzyłem w twoją winę. Nie mogłem niestety wcześniej odwołać oskarżenia, byłem w akcji. Potem dałem znać Ipowi. Zakomunikowano mi, że cię zwolnili.

Daniel słuchał ze wzrastającym zdumie- niem. Więcej Ip otrzymał odwołanie... Więcej jego szaleństwa nie miały podstaw...

Rafał:

— Latami żyło się mocną, sytną myślą o zemście. Powstanie to pora spełnić. W czystym ogniu powstanie chce spalić wszystko co brudne i dziennie robi sto takich omyłek jak moja... Przepraszam... Prze- praszam...

Daniel spojrzął na przyjaciela jakby go teraz poraz pierwszy zobaczył; twarz i książki wydają się coraz inne. Była to twarz długa, o mięsistym nosie, rozpaćka- nych ustach, wylupiających oczach, cała w tonacji złoto-rudej, o jawnym stopniu genialności i tępoty. Za każdym razem wi- działo się granicę do której dochodził, ale ta granica była daleka!

— Rafał... — szepnął.

Ochocki zerwał się i skierował ku otwo- rowi w murze. Już spod muru zmie- rzył Daniela długim spojrzaniem. Widać było, że chce coś powiedzieć, twarz mu się skrzywiła pod naporem uczuć, ale w tej samej chwili w podwórzu rozległy się wo- lania: „Sierżant Rafał“, więc nie już nie dodając schylił się i zniknął Danielowi z oczu.

Daniel pozostał sam. Od lat każdy dzień zastawał go przygotowanym do śmierci. Latami co noc czekał na swój los. Wdźniał to swoje życie, ongi napuchłe od marzeń, od czekających na realizację wspaniałości, nagle skurczone i widział równocześnie na- der plastycznie, jak ono się skończy: Ka- ża mu gdzieś ukłęknąć i serią z automatu roz- szarpia mu plecy. Trzymał niejako w ręku oba końce — życia i śmierci. Pomimo to w ciągu ostatnich lat umierał nie wydawało mu się sprawą trudną. Od kilku dni prze- konał się natomiast, iż nie było w świecie niczego straszliwszego, jak umrzeć z pię- nem Judasza i skazać swe prochy. Teraz to piętno z jego czoła zostało zdjęte.

Nad płonącym, nad konającym miastem unosiło się niebo błękitne, niebo jak z obrazów mistrzów sprzed pół tysiąca lat, nie starsze dzisiaj ani o jego mgnienie uczu, ani o jedno tchnienie, tak samo cud- ne, tak samo obojętne — sam spokój. Na tym niebie nie czuło się czasu i życie nie różniło się od śmierci: niebo tożsamością życia i śmierci. Ponad płonącym miastem, ponad zwłokami milionów i świeżym popie- liskiem ich domów dzwoniło to niebo ledwo pamiętanym dworem Dzikowskim, podwór- rzem w H., tłumem wiernych, dawnym Rafałem. Wystarczyło skupić się, aby usły- szyć szum drzew w Dzikowskim parku, gwar uliczek młodości, szum i gwar ziemi, z której ostatnia wojna zdjęła treść ludzką. Przymknął oczy. I uśmiech- nął się do myśli, że jak od lat oto znów gotów jest umrzeć, pod tym niebem jedności życia i śmierci, gdzie na pięć minut przed powszechnym końcem świata uczynki ludzkie jeszcze się różnicowa- ły.

— Czy pan usnął tutaj — zawołał Ip. Daniel odwrócił się.

— Cały świat na pana się skarży. Pań- ska sprawa nabrała rozgłosu.

— Doktor Braun — odezwał się wros- cie Daniel. — Doktor Braun z rządu za- ręczy za mnie. Sierżant Raf-1 odwołał...

— Sierżant Rafał odwołał, doktor Braun doktorem Baunem, a ja woję was mieć u siebie. Zandarm Bąk!

Gdy Daniel zauważył swojego starego znajomego, tustego zandarma Bąka, który

zgrzany i niechętny stał o kilka metrów dalej pod ścianą, zaczął nagle przeraźli- wie krzyżeć. Wśród potoku słów, z trudem odróżniało się sens niektórych, że nie po- zwoli się zamknąć, że dosyć i td. Sam so- bie nie zdawał chyba sprawy z tego, że tak przeraźliwie krzyczy. Ip próbował go uspo- koić, Daniel jednakże ciągle krzychał o nie- sprawiedliwości, o krzywdzie, o doktorze Braunie, „który wie wszystko“. Krzychał tak w kółko, aż go doświadczony Bąk uspokoił.

VI

Adło Stare Miasto, powstańcy w krańcowej prostracji prze- nikali kanałami do Środzie- ścia, rozpoczął się atak: ra Powiśle, równocześnie prawie bez przerwy Niemcy trzymali odcinek od Królewskiej do Chmielnej pod ogniem samo- lotów, ciężkich dział i krów. Najgorzej było pomiędzy Kredytową a Złotą — gdzie mieszczą się Trzy Korony — cały ten kwadrat poniał. Dom pod dwudziestym drugim „chodził“ w końcu i on stanął w ogniu. Ip nie usiłował go nawet ratować, zaczął już był ewakuację swej placówki na ulicę Widok. Mieszkańcy jeszcze wcześniej wyszli. Całymi nocami czekali na przejście w Alejach, których znaczenie osiągnęło szczyt.

SS-manów Ip przekazał porucznikowi Ka- rolowi, który miał pozostać na placu Dą- browskiego do końca. Nocą porucznik za- prowadził ich do ruin hotelu Victoria. Raz- zem z nimi zabrał i Daniela. W momencie aresztowania Ip chciał go zamknąć oddziel- nie w którymś z mieszkań, ale ponieważ to wymagałoby oddzielnego strażnika, dał go do aresztu ogólnego. Gdy wśród nocy która była jednym wielkim pożarem wypro- wadzono jeńców, Daniel złow zaczął krzy- żeć, że zaszła omyłka. Siestrze- niec stróża wytłumaczył powstańcom, że „to napewno ten Ukrainiec krzyczy“. „Tak to napewno jakiś fok“ — potwierdzi- li sobie powstańcy. Krzyk Daniela siestrze- niec stróża usłyszał jeszcze z ulicy. Dwie- ro o świecie uprzytomnił sobie, że to może nie był Ukrainiec, lecz znajomy pana Zy- berta, o którym coś kiedyś słyszał. Siestrze- niec stróża stale mieszkał gdzieś indziej, pod dwudziesty drugi przyszedł akurat te- go dnia gdy sprowadzono jeńców z Ceder- grenu. Stróż Władysław zostawił dom pod jego opieką a sam poszedł za Aleje.

Również Zyberty z Jadwiną udali się na drugą stronę Alej. Wkrótce jednak Jadwi- nia wróciła, aby pilnować mieszkania. Nie podobało jej się po drugiej stronie, głód dokuczał jej i jej panu, a ona była bezrad- na. Przy tym o wiele mniej bała się Niem- ców, nie bała się w ogóle nikogo. Dwudzie- sty drugi spalony był tylko na ostatnim piętrze, mieszkanie Zyberty nie uciekało prawie. Od pana Bolka, siestrzeńca stróża, Jadwinia usłyszała o wypadku. Natychmiast pobiegła do Victorii. Wśród ciał odnalazła Daniela, który dawał jeszcze pewne znaki życia. Chciała go zabrać, ale nie mogła ura- dzić. Wokół wszystko się jeszcze tliło, po- parzyła się nawet i z rozpacz zaczęła krzy- żeć. Wtedy z piwnicy wyjrzała Stasia. — Stasiu pomóż mi, to dobry pan, to dobry człowiek. — Ożeni się z mną? — zapyta- ła Stasia. — Ożeni się — Jak on się ze mną ożeni, jak ja jestem bez opinii? — Ożeni, Stasiu. — Nie, a ty tak krzyczysz jak on. Cały wczorajszy dzień przeraźliwie krzychał. — Krzychał? spytała Jadwinia. — Tak to przecież Żydek. Oni zawsze krzy- czą. Jak obłapiają to także krzyczą. Oni ma- ją małe stare serca. — Co ty Stasiu mówisz? — Tak, ty jesteś zdewicą to nie wiesz, ja jestem stara kurwa. — We dwie prze- niesły go do piwnicy pod dwudziesty, drugi gdzie na godzinę przed przyjęciem Anioła zmarł.

Kazio Anioł nie mógł oderwać wzroku od wystającej spod czerwonej pluszowej kapy żółtej ręki. Zdawało mu się, iż zastępy w niej ten podkreślony przez Stasię prze- raźliwy krzyk człowieka niechęcego umrzeć. Nie było jednak czasu na wzru- szenia. Nie było czasu, aby przystanąć i pomyśleć. Ale zarówno płacz jak milion myśli związanych z tą śmiercią nurtowały Anioła. Czuł wzmógłony szloch serca gdy przy pomocy siestrzeńca stróża i Jadwini przenieśli ciało pod dwudziesty czwarty gdzie podwórce nie było kamienne i wyko- pali grób. Gdy grób był gotów wpadła se- ria krów.

Już przed samym exodus z Warsza- wy mieszkańcy, którzy wrócili z Alej znaleźli dwa nie spalone, lecz jakby utra- lone w otwii ciała Daniela Dzikow- skiego i Anioła. Głowa Jadwini oder- wana od tułowia wałała się po ulicy Jasnej — ściągnięta i zgrymaszona jak lepek udu- szonej kotki.

Adolf Rudnicki

Ilustrował Mieczysław Piotrowski



ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

## P O D A T N I C Y

Gdy ktoś przed wojną przejeżdżał z Polski centralnej do Białegostoku i nie myślał wyłącznie o sprawie, która go do tego miasta tekstylników i garbarzy sprowadziła — jedną rzecz musiał niewątpliwie zauważyć: miasto to było zamieszkałe jakby przez ludzi innej rasy, niższych, szczuplejszych i bledszych niż w reszcie Polski.

Podobnych wrażeń doznaje się obecnie przyjeżdżając z Niemiec do Anglii. Ludzie niemieckiej prowincji a nawet niektórych dzielnic Berlina to rośli, silni mężczyźni, dorodne kobiety, zdrowo i czerstwo dziś jeszcze wyglądający. Prowincja niemiecka, spasiona w czasie wojny, przez dwa lata okupacji nabyte schudła, żeby wyleczyć odtłuszczenie serca i chorą wątrobę. Tyle, ile trzeba dla zdrowia. Niezależnie od własnych zapasów żywnościowych, których nie myśli zdawać w całości ustanowionym przez okupantów władzom dystrybucyjnym dożywiana jest przez aliantów i niektórych alianckich podatników: według oficjalnych relacji 3 szylingi z każdego funta, który płaci podatek angielski idzie na utrzymanie angielskiej strefy okupacyjnej.

Przeczytawszy w Berlinie tę informację, wydrukowaną w periodyku oficjalnym, wydanym przez brytyjskie władze okupacyjne, byłem ciekaw jak wyglądają ci podatnicy angielscy, których stać na taką szkodliwość. Patrzenie w ludzkie twarze stało się zresztą namiętnością nas wszystkich którzy w latach okupacji z wyglądu twarzy ludzkich nauczyliśmy się nieomylnie ocenić, za ile dni lub tygodni ktoś niechybnie opuści nas na zawsze.

Anglicy wysocy i dorodni to rasa bardzo rzadka na Wyspie, szczególnie na prowincji. Eksportuje się ten „towar“ na kontynent i do krajów zamorskich, obywając się w domu materiałem ludzkim dużo gorszym: źle odzianym — z wyjątkiem dzieci, — źle ubranym, zmęczonym.

Przyjeżdżając na Wyspę z pobitych i zmęczonych Niemiec chciałoby się widzieć korzystną różnicę w wyglądzie ludzkim, i logicznie myśląc podróżny, który wie, że po odjeździe z funta 3 szylingów zostaje jeszcze 17 wyobraża sobie, że mieszkańcy zwycięskiej i niezniszczonej Anglii korzystnie się będą odróż-

niać swym wyglądem od ludności nietylko Niemiec ale i reszty kontynentu.

Logika, niestety, zawodzi, gdy przybysz z kontynentu wjeżdża na Wyspę okazuje się, że za trzy szylingi w Niemczech można zdrowiej wyglądać i lepiej być odzianym niż na Wyspie za 17. Podatnik brytyjski nosi fabrycznie szyte ubrania, brzydkie i niedobre, z białostockich czy łódzkich — nie bielskich — materiałów, mocne i tanie buty płaszcz nieprzemakalny nie pierwszej jakości.

Prawdziwy „burbery“, marzenie naszych elegantów, częściej się widzi w Warszawie w dnie pogodne niż w Londynie w czasie deszczu. Podatnik angielski mało je południowych owoców, mało świeżych jarzyn, mało jajek — jedno na tydzień — i wcale świeżego beafu. Nie wielu angielskich podatników ma możność zostawić swe odczucie reumatyzmu, blednicę i artretyzmu na stoniecznych plażach Francji i Włoch. Podatnik angielski płaci za wojnę, płaci za Grecję, płaci za Palestynę, musi płacić za eksport. Płaci — oczywiście — z zasobów, nie z bieżących dochodów. Znaczący to, że olbrzymi imponujący wysiłek, wkładany przez podatników w bitwę o zwiększenie eksportu, o nadrobienie straconych aktywów zagranicznych, o zrównoważenie bilansu płatniczego możliwy jest w tym kraju tylko dlatego, że mieszkanie zajmowane przez podatnika od trzech pokoleń jest już w jego rodzinie, że prześcieradła, na których spya odziedziczył po matce, a kiedy się łąra, ile jest tymi, które w skrzyni na strychu zostawiła babka, że wełniane skarpetki, które nosi, pochodzą z czasów, kiedy się jeszcze nie liczyło, ile się ma; że za samochód, którym się jeździ, ostatnią ratę do banku zapłaciło się jeszcze chyba w 1926 lub w 27 roku, że szkoły, porty, drogi, koleje, muzea i telefony zbudowali przodkowie a opłacili wszystkie chyba narody świata.

Podatnik angielski, ten z autobusu, z przedziału kolejowego, z taniego klubu czy chodnika w wielkim mieście wygląda blade i smętne. Byłem ciekaw jak wygląda podatnik, jeżdżący własnym samochodem.

Na yorkshire'skich poloninach, jakieś 20 km. od sporego miasta przemysłowego Huddersfield odbywały się zawody psów owczarskich, pokazy akrobatycznej jazdy na koniach, bieg terenowy — słowem całodniowy kermasz. Widzów wozowały z okolicy autobusy, ale chyba połowa gapiów przyjechała własnymi samochodami. Jedno całe wzgórze zajęły samochody, ustawione ciasno przy sobie — grat przy gracie, grat przy gracie jak na pokazie osobliwości. Takich trumien i kaftanów, udających samochody nie zdarzało mi się nigdy widzieć — i okrutna zawiść zaczęła mi żreć serce: boć to przecie jedynie dzięki tym znakomitym szosom angielskim, dzięki opiece, na którą każdy wóz może liczyć na szosie ze strony tanich dróżników samochodowych podobne trupy mogą jeszcze wozić swoich właścicieli. Nietylko ludzie w tym kraju znakomitych dróg żyją długo, ale i maszyny.

Wszedłem na tereny przeznaczone dla widzów i starałem się znaleźć twarze podatników, którzy przyjechali własnymi samochodami: — nie mogłem ich odszukać, nie mogłem ich wyodrębnić od masy źle odzianych, bledych, z zepsutymi zębami podatników z autobusów. To nie był Wimbledon, ani Derby, ani Ascot, na których różnice wyglądu, ubioru wzrostu same rzucają się w oczy wśród publiczności. Na poloninach Yorkshire'skich, ludzie, którzy przyjechali tam własnymi samochodami nawet zachowaniem nie wyróżniali się z pośród tych, którzy przyjechali autobusami.

Może to dobre dla premiera Attle, dla Bevena i dla Churchilla, że z pozorów tak niewiele można w Anglii wywnioskować. Z kiepskich materiałów na wystawach sklepowych nie można wnosić, że obecna Anglia dobrych nie produkuje, z wyglądu samochodów, które się widzi na ulicach i szosach nie sposób sądzić o stanie wytwórczości Austina i Rollice Royce'a, z zastójnych dyktów okien Sainte James Palace — oficjalnej siedziby króla można by np. nieopatrznie wyczytać, że w tym kraju król i Mr. Brown lub Mr. Smith jednakże mają prawa w urzędzie, który przydziela szkło okienne.

Sztuka zachowania pozorów to wielka sztuka i Anglicy wybornie ją posiadli. Iluż zadrażeń niepotrzebnych udaje im się uniknąć dzięki mądrym jej stosowaniu. Ileż zóci i zdrowia zoszczędza się Mr. Brownowi, gdy widzi, że nie tylko jemu odmówiono pozwolenia na remont domu, ale i królowi Jerzemu!

Trzeba umieć oczywiście odróżnić, gdzie kończą się pozory a zaczyna się twarde stosowane polityka rozbudowy fabryk, nie domów mieszkalnych, przydziału dewiz na surowce przemysłowe, nie na filmy i paryską galanterię, polityka sprzedawania zdemobilizowanych „dzipów“ (zjadających ogromną ilość benzyny) krajom bardziej zniszczonym i jeżdżenia u siebie w domu zmotoryzowanymi trumnami. I trzeba przy tym nauczyć się cenić ten naród, który wie o tym, że kraj traci nieodwołalnie dochody z niewidzialnego eksportu, z kolonii, inwestycji zagranicznych i usług, że kończą się zyski płynące z preferencyjnych taryf celnych w dominiach, a mimo to pracuje nie opuszczając ręk. Pracuje z myślą o przyszłości t.zn. godzi się na

ograniczenia w spożyciu aktualnym, aby zabezpieczyć przyszłe. Rozważmy, rozsądny naród, który miałby z pozorów powody, żeby rozpaczając za stratami niepowrotnymi, wspominając minioną świetność Albionu, nie widzieć już dla siebie lepszej przyszłości.

Podatnik angielski, ten z kopalni, fabryk i biur walczy też o teraźniejszość — strajkując często. Nie zna on wprawdzie rezultatów cyfrowych polityki fiskalnej i socjalnej rządu laburzystowskiego, uważa nawet przeważnie ten rząd za swój, ale w domu mało jest mleka, mało masła, mięsa, tłuszczu, węgla i elektryczności. Gdyby znał cyfry, może strajkowałby częściej, może umiałby uzasadnić swą postawę nietylko względami na dobrane braki. A cyfry są rozmaite — niektóre zna się w Anglii do znużenia. Nie ma prawie mieszkańca Wyspy który by nie wiedział, że Churchill, który sprzedał wydawcy amerykańskiemu swe przyszłe pamiętniki za 250.000 funtów dostanie z tej sumy nie więcej niż jakie 15.000 funtów, bo resztę zabierze na podatki Urząd Skarbowy; kiedy umiera lord taki a taki, wszyscy wiedzą, że od majątku np. wartości 2.000.000 funtów spadkobiercy będą musieli zapłacić 1.300.000. Raduje się więc serce w szarym i bladym małym podatniku, bo myśli, że i on te sumy w jakiś sposób będzie konsumował. Rząd laburzystów podwyższa podatek spadkowy, będzie więc — jak sądzą — lepiej dla szarego obywatela, zmienia się przedwojenne stosunki, kiedy to 1 proc. obywateli Wyspy miało w swym ręku połowę całego majątku narodowego.

Zmieni się wiele i niewątpliwie — ale w jakim kierunku?

Pewne wnioski, które są odpowiedzią na to pytanie, wyciągnąć można z cyfr innych, niż te, które są znane strajkującym górnikom czy transportowcom.

Tuż przed wojną dochód społeczny 40-milionowej ludności Wyspy wynosił 5 miliardów funtów. Z tej cyfry 600 milionów funtów szło na konta bankowe stu pięciu tysięcy ludzi. Znacząco to, że 0,25 proc. ludności zgarniało 12 proc. całego dochodu społecznego. Zwiększone opodatkowanie ma na celu wyrównanie tych rażących nierówności a podwyżki płac powinny polepszyć sytuację finansową najuboższych.

Czy rzeczywiście najuboższych?

W roku 1939 było tylko 1/2 miliona ludzi, którzy zarabiali rocznie od 500 do 1000 funtów, a dziś jest ich prawie dwa miliony. Więc niemal czterokrotnie wzrosła w ostatnich latach liczba burżuazja — na skutek reform socjalnych rządu laburzystów. „Upowszechnienie własności“ postępuje więc w Anglii w sposób gwałtownie szybki, należy jednak wątpić, czy zarabiający od 200 do 250 funtów górnicy z Glasgow, hutnicy z Sheffield, tkacze z Brandfordu i transportowcy z Southampton — sila i nadzieja Albionu — mają szansę kiedykolwiek stać się sklepikarzami, farmerami czy rzemieślnikami. I czy ludzie ci są zadowoleni z obecnego podziału dochodu społecznego, którego struktura świadczy, że kosztem najwięcej i najmniej zarabiających mnoży się w kraju warstwa pośrednia — drobna burżuazja. Górnik i hutnik nie mogą „przekroczyć“ swego losu, nie czeka ich kariera drobnego burżuja. Jak Anglia nie może przeskoczyć swego losu i z kraju marynarzy, kupców i przemysłowców robotników stać się na wzór Szwajcarii krajem rentierów i hotelarzy. Każdy naród w ciężkich dla siebie chwilach inaczej zwykł się pocieszać i w czem innym szukać sił do wytrwania. W roku 1935, po uchwaleniu konstytucji Cara, ukraińscy chłopcy w Galicji zwykli byli mówić: „Perebutyśmy wina, perebudem i konstytucju“.

Na kermaszu opodal Huddersfield, o którym już wspominałem, były i zawody w biegu terenowym panów. Jakichś 40 zawodników ubiegało się o pierwszeństwo w biegu, który wynosił 6 mil. Teren był trudny, ciągnęło się to dobrych kilkadziesiąt minut, ale kilkutysięczna publiczność przez cały czas tarzała się dosłownie ze śmiechu po trawie. Jeden z zawodników bowiem, z punktu zostawczy w tyle, nie zrezygnował z ubiegania się o nagrodę. Przerznięty między nim a pozostałymi zawodnikami stale i gwałtownie się powiększała, tak że w pewnej chwili znalazł się on na czele zawodników, którzy już drugi raz okazywali maszyną górę podczas gdy jego biały strój po raz pierwszy dopiero wychynał na zbocze. Wreszcie zawodnicy przybyli do mety. Wszyscy — z wyjątkiem tego jednego, który, gdyby nie był typowym Anglikiem — dawno zrezygnowałby z przysparzania uciechy gawiedzi. Po jakichś 20 minutach i on wreszcie pokazał się zza rowów i pagórków, wbiegł spokojnie przed trybunę — witany rykiem całej publiczności — i finiszując, lekko przerwał taśmę. Nie zważając na zachowanie się widowni rozpoczął natychmiast serię przysiadów, których nie mogłem zliczyć, bo śmiejąc się do łez wraz z innymi przestałem w końcu dostrzegać jego białą sylwetę.

Ten pokaz „angielskiej flegmy“ i sportowego wyrobienia, gdyby miał miejsce gdzieś w Londynie, uważałbym za propagandowy kicz. Oglądany na yorkshire'skich poloninach był dla mnie lekcją pogładową niewygasłych możliwości tego upartego i twardego narodu.

Andrzej Kruczkowski

Londyn w lipcu.

SEWERYN POLLAK

## LITERACI I URZĘDY

Nie jestem naczelnikiem Powiatowego Wydziału Kultury i Sztuki. Nie jestem dyrektorem Departamentu Koordynacji Pracy Innych Departamentów. Nie jestem referentem w Urzędzie Skarbowym, ani poborcą podatkowym Zarządu Miejskiego. Jestem literatem. Po prostu literatem i niczym więcej. I dlatego, gdy wypadło mi wczoraj przerejestrować na pocztę przydzielony mi w swoim czasie przez Dyрекcję Radia aparat radiowy, pomiędzy mną a urzędnikiem w okienku pocztowym wywiązał się następujący dialog:

— Niech pan okaże zaświadczenie pracy.

— Proszę bardzo.

Sięgam do kieszeni i podaję urzędnikowi legitymację członkowską Związku Zawodowego Literatów Polskich.

— To nie jest dowód pracy. To jest tylko dowód, że jest pan członkiem związku zawodowego.

— Innego dowodu pracy nie mam.

— To znaczy, że pan nigdzie nie pracuje.

— Jakto? Przecież udowadniam panu, że jestem literatem!

— Na tej podstawie nie może pan kosztować z ulgowej opłaty. Pracuje pan u siebie i dla siebie. Pańska praca nie posiada znaczenia ogólnego.

— Przecież właśnie praca literacka posiada znaczenie ogólne...

— Nie my o tym będziemy sądzić... Może historia... może naród... Zresztą mamy wyraźne okólniki Ministerstwa Poczty i Telegrafów, z których wynika, że musi pan płacić pełną opłatę jako niepracujący. A przy tym pan jako pisarz nie ma się chyba tak źle...

I tak dalej — przysięgam, że rozmowa jest autentyczna i odbyła się w Łodzi w Głównym Urzędzie Poczтовым przy ul. Daszyńskiego. Ale nie o nią teraz chodzi. To tylko drobny przykład. Sprawa ma podłoże znacznie szersze i należy wreszcie uderzyć w stół, aby miarodajne nożyce zechciały się wreszcie odezwać.

Jest w Polsce, kraju o 23 milionach ludności, 300 (trzystu) pisarzy. Nie znajduje się już chyba taki matol, który by ośmielał się zaprzeczać poważnej roli tych ludzi w życiu kulturalnym kraju. Bez tych ludzi, bez ich pracy, byłibyśmy w Europie wyspą barbarzyńców. O tym wiadomo, to jest prawda nieodparta. Rozumieli to dobrze twórcy manifestu P.K.W.N., gdy w manifestie tym, przed trzema zaledwie laty, obiecywali pisarzom i innym praco-

wnikom kultury daleko idącą pomoc i opiekę. Uplynęły trzy lata. Weszliśmy w okres stabilizacji stosunków, a jedyną pomocą i jedyną opieką było obniżenie literatom podatków przez Ministerstwo Skarbu.

A tymczasem sytuacja materialna pisarza pogarsza się już nie z miesiąca na miesiąc, ale z dnia na dzień. Trzeba obalić wreszcie pokutującą po biurokratycznych biurkach i okienkach fałszywą i szkodliwą legendę o rzekomo doskonałych zarobkach literackich. Legenda ta powstała zaraz po wojnie, gdy pisarze dyskutowali owoce swej pracy dokonanej w czasie sześciu lat głodu i nędzy wojennej. Gdyby inkasowane wówczas przez literatów honoraria za wydawane utworzy podzielić przez owe sześć lat niedojadania, to na pewno przeraziłby się wysokością tych sum nie tylko pierwszy lepszy dyrektor Departamentu Koordynacji Pracy Innych Departamentów, lecz jego najniższy kontraktowy urzędnik.

Ale to już było i minęło. Literaci polscy te swoje książki wojenne dawno wydali i dawno przejechali. Obecne zarobki pisarzy albo zmuszają ich do zajmowania się znowu wszystkim innym tylko nie literaturą, jak to było za czasów sanacyjnych, albo też do ciężkiej orki publicystycznej, która nie zostawia czasu na pisanie książek.

Jednocześnie tych ludzi, którzy nie zdecydowali się jeszcze na zajęcie stanowiska poborców podatkowego i którzy jeszcze chcą pisać, traktuje się w sposób nie tylko urągający intencjom Manifestu Lipcowego, lecz na równi ze spekulantami i darmozjadami.

Ministerstwo Komunikacji trzystu ludziom w Polsce, ludziom, którzy dla wykonania dobrze swego rzemiosła muszą się poruszać po całym kraju, odmawia ulg kolejowych. Ministerstwo Poczty i Telegrafów każe im za abonament odborników radiowych — narzędzi pracy zawodowej — płacić według taryfy dla niepracujących. Dyrekcja Polskiego Radia, której chyba powinno zależeć na pisarzach, przekazując Poczcie inkaso należności radiofonicznych, ani pomyślała o tych swoich trzystu dostawcach materiału literackiego.

Czas już najwyższy z tym skończyć. Polityka kulturalna, jej planowanie powinny zacząć się od tego, by wytwórcom dóbr kulturalnych pozwolono normalnie żyć i pracować. Inaczej może być źle z samą kulturą.

Seweryn Pollak



GEORGES PILLEMENT

## PARYŻ LUDOWY

Przekład IRENY MAŁUSZYŃSKIEJ

JEZELI Paryż królów i wielkich panów zniósł wiele przekształceń, które w ciągu wieków nie przestawały zmieniać wyglądu naszej stolicy, coż powiedzieć o tym ludowym Paryżu rzeźmiślników, mieszczan, robotników, często pracujących na akord, sklepikarzy i ulicznych sprzedawców? Zmieniał on w ciągu wieków wiele razy swój wygląd. Na tym samym placu były wznoszone niekiedy kolejno: willa rzymska, średnio-wieczny, drewniany dom o ścianie szczytowej, mieszkanie z XV wieku z orclu gipsowego, z podmurówkami z ciosanego kamienia, XVII-wieczny gmach z cegły, z kamiennymi gzymsami, dom z XVIII wieku, który skupiał wszystkie klasy społeczne: na parterze sklepikarz, na pierwszym piętrze wyższy urzędnik lub bogaty mieszczanin, na drugim o niższym suficie, prościej ozdobionym, niższy funkcjonariusz lub mniej zamożny mieszczanin, na trzecim, mansardowym, podzielonym na pokoje lub drobne mieszkanie, robotnicy, rzemieślnicy, sprzedawcy sklepowi, wreszcie budynek w znaczeniu nowoczesnym, do niedawna kamienny, a dziś cementowy, który stosownie do dzielnicy, w jakiej się znajduje, jest luksusowy lub nędzny i grupuje lokatorów jednej kategorii społecznej.

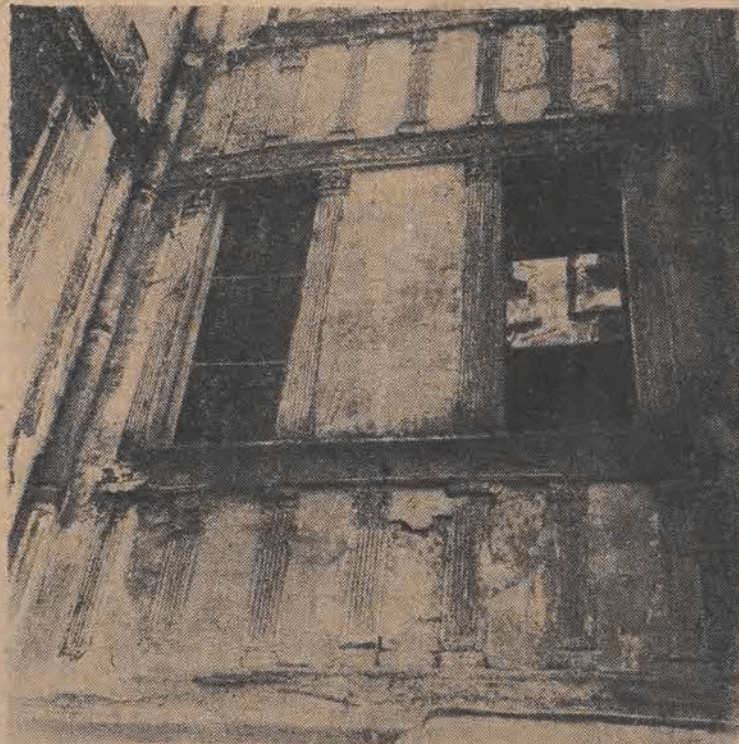
Nie ma miasta na świecie, które byłoby w każdej ze swych epok, świetniejsze i wspanialsze. Paryż Karola V czy Karola VII zasługiwał na to, by przetrwać do naszych czasów jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w tej mierze, co Paryż Henryka IV czy Ludwika XIV. Jeden z sekretarzy Karola Orleańskiego, Włoch nazwiskiem Antoine Astésan, opisał entuzjastycznie uroki Paryża za czasów Karola VII, z jego domami, pałacem i pełną sklepów galerią, Sainte Chapelle z jej relikwiami, Bastylią i kaplicą Celestynów, kolegiami uniwersyteckimi i ożywionymi ulicami: „Podziwiam — mówi Astésan — tych rzemieślników, którzy tak zręcznie ozdabiają ulice, że nie znalazłoby się lepszych artystów na świecie... A dalej: „Popadam w ekstazę na widok mnóstwa tak ładnych i tak wesołych dziewcząt, ubranych z taką kokieteryją...”

Paryż był już wówczas w swej istocie taki, jakim jest teraz: Paryżem ładnych dziewcząt i zręcznych rzemieślników: złotników, kowali, stolarzy, tapicerów, których wartości, talenty i zalety przechodzą w ciągu wieków z pokolenia na pokolenie. Ale dekoracja się zmieniła. Paryż Karola VII istnieje tylko w miniaturach Fouquet'a. Jeśli ze wszystkich jego ówczesnych przepraw, z pałacu św. Pawła, z pałacu Tournellów, z Luwru Karola V, z Bastylii, Temple, z gmachu Sądu, nic nie zostało, jakże chciałobyście, żeby zachowały się domy rzemieślników i mieszczan?

Gdzieniedzie tylko pozostało kilku niepokornych i skromnych świadków, zapominanych jakby mimowoli i starających się zwracać na siebie jak najmniej uwagi, jak dom o ścianach drewnianych z ulicy Volta, czy dom du Grand Pignon przy ul. Montmorency 51, zbudowany w 1407 roku przez Mikołaja Flamel'a, pisarza publicznego, bogatego, porządnego człowieka, który miał swoisty sposób pojmowania praw i obowiązków właściciela. Jak nam donosi Guillebert de Metz, w domu Flamel'a „ludzie rzemiosła” mieszkali na dole, a z komornego, które płacili, byli utrzymywani biedni rolnicy na górze; co więcej — jak tego domagał się napis, który można jeszcze odczytać na fasadzie — lokatorzy musieli codziennie odmawiać modlitwy za zmarłych. Obawiam się, że ich dzisiejsi następcy zapominają o tym.

Prawdę powiedziawszy, istnieją jeszcze inne domy o drewnianych ścianach szczytowych przy kilku innych ulicach Paryża: przy ul. Saint Denis, ul. Francois Miron, ul. de l'Hotel de Ville, ul. de Ducy, ul. Saint Honoré, ul. Gelande itd., ale oprócz ich zasadniczej linii, ich nieco wybrzuszona fasada i tego zalotnego śpiczastego kapelusza, którym są nakryte, nie odnajduje się nic więcej ze szczegółów, jakie tworzyły ich urok: nie widać już ani okien z filarkami, ani drzwi z lukami, ani ścian ze wspaniałego drzewa.

Trzeba wejść w wąski dziedziniec domu przy ulicy Francois Miron, żeby zobaczyć te dwie ładne fasady o drewnianych rzeźbionych ścianach renesansowych, które świadczą jeszcze o smaku dawnych cieśli paryskich; tak samo wieżyczka pałacu Nérouet i obie wieżyczki przy ulicy Haute-feuille są jedynymi, jakie pozostały z tego rodzaju ornamentacji, który jeszcze przed stu laty nadawał okolicom placu de Gréve tak miły charakter.



Paryż, ulica Francois Miron, dom renesansowy

Tylko jeszcze w wyobraźni będziemy mogli ujrzeć Paryż Stefana Marcel'a, kiedy to po klęsce pod Poitiers lud, porwany przez swego burmistrza, zbuntował się przeciwko doradcom królewskim i zdołał wymóc „La Grande Ordonnance des Etats” z 1357 roku, która broniła „biednych ludzi” przed przemocą szlachty oraz wojska i kontrolowała, na wzór Wielkiej Karty angielskiej, władzę królewską.

Ale lud paryski odniósł wówczas tylko krótkotrwałe zwycięstwo, podobnie jak w pięćdziesiąt lat później, kiedy frakcja ludowa partii burgundzkiej opublikuje rozporządzenie i program reform administracyjnych niemniej mądrych, lecz nie lepiej stosowanych. Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku wszystko to skończy się egzekucją przywódców i rzezią zbuntowanych.

Rzezie były ustawicznie w tej epoce, zakończonej Wojną Stuletnią: jednego dnia są to Armaniacy, później to będą Burgundczycy, innym razem stronnicy Karola VII, w następnym roku zwolennicy Anglików. W czasie wojen religijnych będą to rzezie protestantów. Lud Paryża, unoszony swymi namiętnościami, wspaniałomyślny lub nietolerancyjny, pokazywał, iż jest zdolny do krwawych buntów i ulegał strasznym represjom.

Paryż ludowy ukazuje swoje oblicze najlepiej w okresach kryzysu: Rewolucja, 1830 rok, 1848 rok i Komuna pozwoliły nam wywołać ten obraz z największą siłą, gdyby nie usiłowano zetrzeć z mapy Paryża miejsce, które musiałyby zachować wspomnienie tych najbardziej heroicznych dni.

Jeśli lud zburzył sam Bastylię, symbol samowoli, „ancien régime'u”, jeśli Komuna podpaliła Tuilerie i ratusz, — dwa bieguny przyciągania rewolucyjnego, — jeśli sala, gdzie zasiadał Konwent nie egzystuje już, podobnie jak nie istnieją sale, gdzie odbywali swoje posiedzenia Jakobini i Kordelery, to tym bardziej nie znajdziemy Temple gdzie była zamknięta rodzina królewska, ani więzień de la Force i Opactwa. Pozostaje nam tylko kilka dość nędżnych widoków Conciergerie z ciemnią Marii-Antoiny, Cour de Femmes gdzie miały miejsce rzezie wrześniowe z 1792 roku i apteka, gdzie rzeźli na noszach Robespiera, oczekując aż go wprowadzą na szafot.

Ale w braku gmachów, które wcielały najlepiej historię ludu paryskiego, znajdujemy przynajmniej w niektórych ulicach Paryża dekoracje prawie niekniętej i atmosfery, która zdaje się być zawsze jednako. Ulica Saint Antoine, ul. Saint Honoré, ul. Montgouffier, ul. de Seine, ul. de Bucy, ul. Mouffetard, zachowały swe fasady prawie takimi, jakimi były one w końcu XVIII w. Dzięki ożywieniu tych ulic gdzie stoją wózki sprzedawców warzyw, czujemy się tu w Paryżu tradycyjnym: to Paryż wczorajszy, to także Paryż dzisiejszy i mam nadzieję — jutrzejszy. Krata oberży, sztyl, balkony z kutego żelaza, maskarony okien, frontony, ożywiają te fa-



Paryż, ulica des Archives Hotel Clisson

sady, które, jeśli zadamy sobie tylko trochę trudu, opowiedzą nam tysiące wspomnień i anegdot.

Ten Paryż ludowy znajdujemy także w dawnych przedmieściach. W Belleville, w Vilette, w Ménilmontant, na przedmieściach Saint Antoine. Tam nie ma już dawnych fasad o wdzięcznych ornamentach; widać tu domy czynszowe, zbudowane oszczędnie, zupełnie proste z regularnymi otworami okien, a jednak miłe dla oka od pretensjonalnych budynków o przeladowanych fasadach i ciężkich odlewanych balkonach, jakie spotykamy w dzielnicach mieszczańskich. Podobnie hałaśliwe życie i wesołość ulicy de Charon, ulicy Faubourg Saint-Antoine, ulicy Belleville, ulicy de Ménilmontant, ul. de Gaieté i ul. de Moines wydają się nam lepsze od tej głupiej nudy i ponurej zarozumiałości, jakie promieniają z tyłu zamożnych i wykwintnych ulic podobnych do siebie i pełnych monotoni.

Z pewnością Paryż ludowy XIX wieku nie był więcej respektowany niż Paryż Karola V. Gdzie jest bulwar du Crime, odrestaurowany w filmie „Les Enfants du Paradis”, ze swymi dziesięcioma teatrami grającymi co wieczór, ze swymi kuglarzami, swoim entuzjastycznym tłumem, oklaskującym Debureau, panią Faubourg, panny Georges i Déjazet, Bouffé, Bocage i Mélingue? Gdzie są garbarnie de la Bièvre i sama zręcznie ukryta Bièvre? Co stało się z Montmartrem, który stracił cały czar ulicy des Gaules i ul. Saint Vincent wraz ze wspomnieniami Komuny z ul. des Rosiers?

Ten Paryż Ludwika-Filipa i Drugiego Cesarstwa odtwarzają nam tylko sztychy Gavarniego i Daumier'a, podobnie jak Paryż Karola VII — miniatury de Fouquet'a. Dzięki nim odnajdujemy nie tylko typy

zanikłe, ale również sceny heroiczne i krwawe, jak np. rzeź z 1834 r. przy ulicy Transnonain 12, której wspomnienie zachowuje nam mściwa litografia Daumier'a, w braku samych miejsc, których żary rozplynął się we wnętrzościach ulicy Beau-bourg.

Paryż Komuny odnajdujemy od strony Pere-Lachaise; czy to będzie ul. Naxo, gdzie zostali rozstrzelani zakładnicy w odpowiedzi na barbarzyństwo Wersalczyków, którzy zmasakrowali uwięzionych komunistów, czy to będzie ściana cmentarna, do której lud Paryża pielgrzymuje co roku. Gdzieniedzie, między Bastylią i bulwarem de Ménilmontant, na rogach ulicznych, gdzie wznosiły się barykady, domy zachowały jeszcze pod gipsem i malowidłami ślad kul, wystrzelonych podczas rozpaczliwych walk, staczanych przez ostatnich obrońców ideału, tego ideału, który za-triumfuje w 70 lat później.

Paryż ludowy niszczy i zamartwychwstaje nieustannie, nic nie chroni go przed niszczeniami, powodowanymi przez czas i ludzi; ale siła miasta tkwi w potęgze z jaką się ono odnawia. Paryż ludowy, to zresztą cały Paryż, taki jakim był, taki jakim jest, budowany rękami człowieka z ludu i poczęty przez artystów i architektów, którzy byli również synami ludu.

W każdym stuleciu ten Paryż szlachetny i entuzjastyczny, przerabiany przez historię, zastępuje swą dawną sławę nowymi heroicznymi czynami. Zburzono Paryż Rewolucji, Paryż barykad 1830, 1848 i 1871 roku. To nie! Będziemy mieli teraz Paryż barykad Wyzwolenia, który z kolei wchodzi do historii.

Georges Pillement

## „EUGENIA GRANDET”

Dzieła wielkich pisarzy odznaczają się tym, że przy każdym czytaniu odsłaniają jakieś nowe, niespodziewane właściwości. Napewno bardzo słusznie robią Ci, którzy widzą w Balzacu wielkiego pisarza socjologa, odkrywającego pewne prawa społeczne, i malującego człowieka w jego konkretnym środowisku. Nie mniej racji mają ci krytycy, którzy dostrzegają w twórczości Balzaca głęboką znajomość ekonomii i cenią go jako doskonałego analityka stosunków gospodarczych. W kresie uwielbienia dla psychologizmu odkrywano w nim znakomitego znawcę duszy ludzkiej i łajników psychiki kobiecej. Może najmniej zainteresowania wykazywano u nas dla Balzaca jako artysty — podkreślając wadliwość kompozycji i żywiołowy wybuch pasji twórczej, która niósła nadmiar słowno-niezwykłą obfitość wrażeń i obserwacji.

Wszystkie te częściowe „odkrycia” prowadziły zawsze do stwierdzenia, że właśnie Balzac jest wielkim pisarzem realistą i że on wprowadził powieść europejską z manowców

\*) Balzac „Komedia ludzka” — Eugenia Grandet, przełożył Boy-Zeleński. Spół. Wyd. „Książka”.

rozwichrzonego romantyzmu na właściwe, równe szlaki wielkiej i uspołecznionej twórczości.

„Eugenia Grandet” powieść stanowiąca w działalności pisarskiej Balzaca jedno z najwyższych osiągnięć, odkrywa przed czytelnikiem jeszcze jeden, nowy aspekt — wielkiego umiaru artystycznego i klasycznej prostoty i harmonii. Realistę odżegnywali się od wzorów klasycznych, widząc w nich koturnowość, nadmiar patosu, brak prawdy życia. Nie chcieli rysować „bohaterów”, lecz ludzi spotykanych codziennie. Czyż jednak wspaniała postać ojca Grandet nie dorasta miary „herosów” greckich? Metoda kreślenia postaci jest oczywiście zupełnie inna niż w tragediach greckich. Ojciec Grandet tkwi mocno w codzienności życia, jego koturny są zrobione przez szewca-latacza z sąsiedniej ulicy. Niemniej jednak podobnie jak bohater tragedii przetrasta o głowę swoje otoczenie. Wielkość jego polega na wyolbrzymieniu i bezwzględnej konsekwencji cech charakteru i postępowania. Jest skąpcem „bez skazy” i bez słabości. Jego ostatni gest ręki przyciągający złotą monstrancję dorasta miary patetycznych gestów tragedii. Podobnie jak w tragediach greckich patos ten brzmi fałszywie, jest tyl-



ko tym szczytowym osiągnięciem sztuki po- za którym zaczyna się śmiech. Te grani- ce osłagał tragiczny grecki, Szekspir i właśnie Balzac. Ani Skapiec Moliera, ani Pluszkin Gogola nie mają w sobie tej surowej prostoty i tragizmu. Namiętności ojca Grandet można by porównać jedynie z greckim fa- tum, które ciąży nad całą rodziną, niszczy życie żony i córki pozostawia po sobie kupy bezużytecznego złota. Jakaś zupełnie nowo- czesna klątwa, przekleństwo złota, przeżera całą rodzinę Grandet. Z ojca robi maniakę, z żony pokornego manekina, zmuszonego do ukrywania każdego ludzkiego uczucia. Euge- nie atmosfera domu łamie w inny sposób. Stwarza z niej człowieka o bezwzględnej su- rowości i prostolinijności uczuć, podobnie jak u ojca Grandet, jedno wielkie uczucie czyni z niej swoją ofiarę. Uczucia jej są wzniosłe i bezkompromisowe, tak jak uczu- cia bohaterki tragedii nie cofają się przed niczym i nie zmieniają pod wpływem żadnych okoliczności. Postać Eugonii Grandet osiąga dzięki temu klasyczną prostotę, jednolitość i konsekwencję czynów. Bohaterka Balzaca jest wielka i jest tragiczna. Nie jest to tra- gizm drabnionieszkańskiej alkowy, lecz tragizm godny najwyższej sztuki, osiągalny tylko wówczas, skoro istnieją konflikty wiel- kich i prawdziwych uczuć.

Nawet Nanon, ta postać zdawałoby się, u- ragająca wszelkim regulom klasycyzmu z po-

wodu swego wiejskiego pochodzenia, brzydota i prostactwa jest też postacią patetyczną i wzniosłą. Bezwzględnie wierna, bezwzględ- nie uczciwa, ofiarna i kapłanka obowiązku, nie podlega żadnym rozterkom wewnętrznym Dorównuje pierwszoplanowym postaciom do- mu Grandet, — domu, którego surowe i po- nure wnętrze stanowi wspaniałe szarmonizo- wane tło dla rozgrywającej się w nim tra- gedii.

Kompozycję powieści Balzaca też cechuje szlachetna prostota. Niewielka ilość wpro- wadzonych postaci, wspaniałe rozłożone role pozwalają autorowi na zogniskowanie akcji i na mocne powiązanie tła społecznego z fa- bulą. Powieść Balzaka łączy w piękny sposób głęboką wiedzę o człowieku i o społeczeń- stwie z surową prostotą kompozycji nasuwa pewne refleksje. Kto wie, czy właśnie nie we wzorach klasycznej sztuki pisarze reali- stów powinni szukać pewnych norm i wska- zówek. Czy właśnie połączenie tej głęboko ludzkiej i surowej prawdy o człowieku ze zdobytą przez wiek XIX wiedzą o życiu spo- łecznym nie wyprowadziłoby powieści współ- czesnej z dość jałowych ścieżek realizmu drabnionieszkańskiego. Może to wyzwoliło- by sztukę pisarską z bezowocnych poszuki- wań konstruktivismu i ekspresjonizmu, wskazując wzór klasycznej prostoty i har- monii kompozycji

Ewa Korzeniowska

MINIATURE ARTURA SZYKA

Leży przede mną bardzo starannie opra- cowany dwudziestostronicowy zeszyt — pro- spekt przygotowanych książek amerykań- skiego wydawnictwa bibliofilskiego „The Li- mited Editions Club” w Nowym Jorku, istniejącego od r. 1929. Zespół ten rok rocz- nie wypuszcza serię arcydzieł literatury światowej czasów dawnych i bieżących, z ilustracjami pierwszorzędnych artystów róż- nych krajów; książki te zawsze są utrzyma- wane na możliwie wysokim poziomie sztuki drukarskiej, introligatorskiej i w ogóle zdo- bnicstwa dekoracyjno-graficznego. W tym celu oraz gwoli nadawania wybranym dziełom pewnego kolorytu narodowościowego nie- które wydania klubu były tłoczone w wy- borowych drukarniach krajów, gdzie po- stawiały, jak to swego czasu np. miało miej- sce z powieścią Lwa Tołstoja „Anna Kare- nina” w przekładzie amerykańskim, wyko- nanej w moskiewskim „Goznaku” i ozdobio- nej barwnymi drzeworytami miejscowego grafika M. Piskarowa.

Publikacje „Limited Editions Klubu” na rynek księgarski nie postępują, a przezna- czone są jedynie dla jego członków, ilość których, jeśli się nie myli, ograniczona jest liczbą 1.500.

Prospekt wyżej wspomniany zawiera szczegółowy opis serii siedemnastego wyda- niów Klubu od końca 1945 r., aż do listopa- da r. b. dając dokładny opis każdego z nich. Prym tu trzyma nowe wydanie arcydzieła średniowiecznej poezji angielskiej „Powie- ści Kantoberyjskie” (Geoffrey'a Chaucera w wierszowanym przekładzie nowo-angiel-

\*) Na język polski swego czasu były prze- tłumaczone przez Jana Kasprowicza.

skim Franka Ernesta Hill, dokonany w r. 1934. Druk książki polecony został przedniej prasie firmy E. L. Hildretha Company w Vermonie, a dla ilustrowania „Powieści chaucerowskiej” zaproszono znanego miniaturzystę polskiego Artura Szyka, który zwa- szcza podczas wojny, jako ostry karykatur-zysta antyfaszystowski zdobył wielką popu- larność w Stanach Zjednoczonych.

Szyk nie wystąpił tu jako właściwy ilu- strator treści zabawnych opowiadań 23 piel- grzymów, składających się na całość „The Canterbury Tales”, a działał jedynie jako portrecista miniatur, tworząc wizerunki wszystkich pielgrzymów, których Chaucer w poemacie swoim po kolei wprowadza. Mi- strzowsko wypełnione miniaturową techniką portrety naszego artysty docekały się wy- stawy w jednej ze znanych galerii arty- stycznych Nowego Jorku i cieszyły się tam wielkim powodzeniem.

Dziwnym trafem Artur Szyk, który w po- czątkach swojej kariery artystycznej zwrócił od razu na siebie uwagę znakomitym swoim „Statkiem Kaliskim”, odzwierciedlającym dzieje polsko-żydowskiej epopei średniowiecznej, po tylu latach jako święty miniaturzysta, co prawda w innym kraju, wśród innych typów i innym otoczeniu, znów powrócił do czasów średniowiecza.

Może nie od rzeczy będzie wspomnieć, że „Powieści Kantoberyjskie” w zeszytym ro- ku — w r. 1940 obchodzone 500-lecie zgonu Chancera — po raz pierwszy w pełnym rosyj- skim przekładzie I. Kaszkińca i O. Rumerę ukazały się w moskiewskim „Goslitizdat” w ozdobnym wydaniu, upiększonym oryginal- nymi drzeworytami F. Konstantinowa.

Paweł Ettinger.

STANISŁAW LORIA

Profesorowi H. Ułaszynowi w odpowiedzi słów kilka

W Nr. 29 (98) z 22 lipca 1947 na str. 7-ej w artykule p. t. „Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego” uznał prof. H. Ułaszyn, jako prezes Łódzkiego Koła T. M. J. P., za stosowne zająć uwagę czytelników moją skromną osobą, poświęcając temu tematowi aż połowę kolumny „Kuźnicy”.

Opierając się na niezasadnym twier- dzeniu, jakoby z przytoczonego *in extenso* ustępu mego wykładu, wygłoszonego na inauguracji bieżącego roku akademickiego w Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu p. t. „Rola nauki w odbudowie gospodarsstwa i kultury” (p. zeszyt marcowy „Myśli Współ- cześnie”), wynikało, że „prof. Loria nie wie o tym, że w Polsce od 27 lat, więc od „przeszło ćwierci wieku, istnieje T. M. J. P.”, że w latach 1920 — 1922 prof. Ułaszyn był pierwszym prezesem lwowskiego Koła tegoż Towarzystwa i ogłosił z okazji jego inaugu- racji dwa artykuły w codziennej prasie lwowskiej w listopadzie i grudniu 1920 r., że wreszcie od pół wieku istnieje „Poradnik Językowy” itd. itd.

Namiętny ten atak kończy się melanco- licznym westchnieniem: „Ale powiada, że niczemu nie należy się dziwić” — co stano- wiąc ma prawdopodobnie ogólną formę na- gany za zabieranie głosu w sprawach, „o których się nie wie”.

Rozumowanie oparte widocznie na nie- ujawnionej (drugiej) przesłance doprowa- dziło autora polemicznej notatki do błęd- nego wniosku: muszą bowiem w imię prawdy stwierdzić, że wszystkie najważniejsze z wy- mienionych faktów są mi znane od lat wielu. (Przynajmniej się lojalnie do tego, że zapomnia- łem o wspomnianych wyżej artykułach ogło- szonych w „Gazecie Wieczornej” i „Gazecie

Lwowskiej”). Natomiast pamiętam dobrze „Poradnik Językowy”, ponieważ jeszcze na ławie szkolnej przywykłem się nim posłu- gować. Byłem bowiem w gimnazjum św. An- ny w Krakowie uczniem prof. Romana Za- wilińskiego, jednego z pierwszych — jeśli mi nie pamięć nie myli — redaktorów tego nader pożytecznego pisma. Nauczył on swo- ich wychowanków nie tylko miłować język ojczysty, lecz wpoił w nas poczucie obowiąz- ku dbania o jego czystość, poprawność i zdrowy rozwój.

To też z radością stwierdziłem, że jednym z pierwszych Towarzystw Naukowych, jakie powstały w r. 1945 na Ziemiach Odzyska- nych było Towarzystwo Miłośników Litera- tury i Języka Polskiego we Wrocławiu i po- czuwam się do miłego obowiązku, jako prze- wodniczący Komisji Kultury w M. R. N. tego miasta, dbać o to, aby Towarzy- stwo to było pierwszym na liście instytucji, dla których w dorocznym budżecie M.R.N. przewidziano (skromną niestety na razie, lecz z roku na rok zwiększaną) subwencję.

Jakkolwiek nie jestem polonistą, wiem je- dnak dobrze, że w miastach uniwersyteckich około katedr języka polskiego, powstają za- zwyčaj ośrodki zainteresowania szerszych kół społeczeństwa sprawą ochrony i rozwoju języka. Nie wątpię, że tam, gdzie działa prof. Ułaszyn, ośrodek ten będzie szczególnie żywy i czynny, że istnieje tam T.M.J.P., że odbywają się w nim odczyty i dyskusje itp.

Ale uważny czytelnik inkryminowanego ustępu mego wykładu nie przeczył prawdo- podobnie tego, że mówiąc o zagadnieniu o- gólnym, dobiebrałem dla ilustracji przykłady „zadań o charakterze regionalnym”, że mia- łem na myśli Śląsk jako kraj, „który się za-

ludnia elementem bardzo różnorodnym, na- pływającym tu z kresów wschodnich, nieraz po dłuższym pobycie poza granicami pań- stwa i miesza się z elementem również kre- sowym, który przez długi okres czasu był pod wpływem obcej kultury i obcego języka”. — Zwracając się do „naszych” humani- stów miałem na myśli kolegów z wydziału humanistycznego Uniwersytetu Wrocław- skiego i pracowników Instytutu Śląskiego, a wyrażając życzenie, aby „w całym kraju po- wstały kółka miłośników języka polskiego” — miałem na myśli nie Warszawę, ani Łódź, ani Lublin, ani Kraków, lecz takie skupiska na- pływowej ludności polskiej na Śląsku, jak Wałbrzych, Jelenią Górę, Legnicę, Świdnicę czy inne.

Pracy potrzebnej na tym terenie nie zastę- pi nawet najświetniejszy rozwój łódzkiego koła T. M. J. P. i najbogatszy w treść numer dwumiesięcznika „Język Polski”. Odczyty i dyskusje w Towarzystwach Miłośników ma- ją zazwyczaj charakter akademicki. Uczest- nikami tych zebrań są niemal wyłącznie profesorowie, asystenci, nauczyciele języka polskiego, a tu i owdzie referent Wydziału Oświaty i t. p. Nader rzadko zabłąka się tam jakiś prokurator, działacz społeczny czy polityczny, student nie polonista, uczeń albo instruktor szkoły zawodowej, początkujący dziennikarz lub „speaker” radiowy. — Prof. Ułaszyn nie podaje w wątpliwość mojego twierdzenia, że ulica a nawet prasa posłu- gują się językiem skażonym, że młodzież nie umie poprawnie wyrażać swych myśli, że za- nika poczucie poprawności i czystości języka ojczystego”. Aby się temu złu przeciwstawić, by je usunąć, trzeba może zejść z katedry uniwersyteckiej, wyjść z sali rozpraw aka- demickich i zastanowić się nad innymi, bar- dziej bezpośrednimi, skuteczniejszymi sposo- bami działania. Jesteśmy świadkami żywego

rozwoju publicystyki, z dnia na dzień wzra- stają ruch wydawniczy, wra walka z ana- fabelizmem, rozbrzmiewa hasło krzewienia potrzeby książki wśród mas pracowniczych — ale nader rzadko słychać protesty przeciw zachwaszczeniu języka w mowie i piśmie beznymi nowotworami i zniekształceniu stylu bezsensowną frazeologią.

Nasi mówcy parlamentarni i mężowie sta- nu wciąż jeszcze „reasumują” swoje wywo- dy, zamiast je streszczać, zbierać lub co naj- wyżej resumować. W mowach i artykułach spotyka się często bezsensowny frazes „na przestrzeni czasu”, „speakerzy” radiowi (zaró- wno warszawscy jak i londyńscy) mówią uparcie „odnośne sprawy”. W książkach i artykułach publicystycznych roi się od słów „względnie” używanego zamiast „albo”, czy- tamy o „zrębach gospodarczego ustroju”, o „całokształcie” zagadnienia, spotykamy zbę- dnie i brzydkie nowotwory językowe jak np. „uciekłinnier”, „spaceroiwicz” i t. d. — Czy nie warto pomyśleć o stałej rubryce w jednym bodaj pozycywnym tygodniku, poświęconym wyłącznie tej sprawie? Może na ogólnym zjeździe delegatów kół Towarzystwa Miło- śników Języka Polskiego znalazłoby się od- powiednie sposoby cierpliwej, upartej ale skutecznej walki z tym powszechnym obja- wem zaniku dbałości o czystość i popraw- ność języka, jakim się porozumiewamy.

Nie lubię polemik i nie zwykłem odpowia- dać na ataki w prasie. Uczyniłem to wyjąt- kowo tym razem w nadziei, że wymiana my- śli spowodowana „udzielną” mi niesłusznie przez prof. Ułaszyna „naganą” przyczyni się do wzbudzenia żywszego zainteresowania tą ważną i pilną sprawą z zakresu odbudowy kultury.

Wrocław, 25 lipca 1947.

PRZEGLĄD PRASY

Okres letni zaznaczył się w całej niemal literackiej prasie polskiej jako okres jałowy. Zrzadka trafi się gdzieś czasem jakiś bardziej interesujący artykuł, jakiś wzbu- dzający sprzeciw lub solidarny esej; „Ty- godnik Powszechny” stępił niemal całkowi- cie ostrze swoich not, Kisiel pisze swoje „Pod włos” nudno i nierozważnie, nadarem- nie usiłując przestąpić liberalistyczną kokle- terią wyartykowane kłopotliwe trefniska sapieżyń- skiego. Tylko nawiń wierzaj jeszcze, że fe- lietoniści „Tygodnika Powszechnego” jest, „enfant terrible” w obozie katolickim. Ci zaś, których rzekome nieporozumienie Ki- sieła z czcigodną redakcją „Tygodnika” w ogóle nie interesowały, nie znajdują w fe- lietonach niczego, co mogłoby się nadawać do jakiegokolwiek rozsądnej dyskusji.

„Tygodnik Warszawski” traci na czytel- ności z każdym tygodniem. Ideologiczna ofen- sywa prowadzona przez Jerzego Brauna po- zwała nam w całej pełni ocenić zapóźnienie i nieprzydatność głoszonych treści.

„Dziś i Jutro” zamieszczając oficjalne arty- kuły p. Majdańskiego na tematy populacyj- ne, zechciało również wypowiedzieć się co do aktualności marksizmu. P. Longin Sza- flarski zaprezentował nam w ostatnim nu- merze wszystkie zapewne swoje myśli na ten temat. Wydawałoby się, że organ grupy katolickiej, która pretenduje do miana naj- bardziej żywego i najbardziej zintelektua- lowanego ośrodka nowoczesnej myśli kato- lickiej w Polsce, powinien dbać o wyższy poziom zamieszczanych przez siebie prac po- lemicznych. Artykuł Szaflarskiego operuje tak naiwnymi przykładami i tak ogranyimi argumentami, że wystawia raczej złe świa- dectwo temu, czego broni i podrywa wszel- kie zaufanie do solidności intelektualnej sta- kującego.

Dodatek literacki „Gazety Ludowej” stał się ostatnio błądy, zapewne z tego względu, iż od kilku tygodni p. Stanisław Dzikowski przestał toczyć boje przeciwko dobremu smakowi i dobrej literaturze. Uwaga redak- torów dodatku coraz bardziej skupia się na zagadnieniach językowych, wskutek czego dodatek stał się domeną surowego purysty. p. Chojnackiego, który z gorliwością godną lepszej sprawy nieustannie wytyka pisarzom ich grzechy przeciwko t. zw. „duchowi języka”. Działalność taka niewątpliwie jest po- żyteczna, lecz jeśli nie towarzyszy jej żadna inna działalność, wówczas nie sposób opę- dzić się wrażeniu, iż na łamach dodatku kró- luje maniactwo.

Nie mogąc znaleźć niczego w szerokim wachlarzu pism naszych oponentów ideolo- gicznych, co mogłoby stać się podstawą do dyskusji, lub co pozwoliłoby zwrócić na da- ny artykuł uwagę czytelników kroniki, prze- jęde do omówienia treści tych pism, które da- ją nam piękniejszy, a co ważniejsza nie fana- tyczny obraz rzeczywistości kulturalnej.

Ostatnie numery „Odrodzenia” świadczą o tym, iż ten najbardziej reprezentatywny ty- godnik literacki nie osiada na mieliznach akademizmu i oficjalności. Numer fran- cuskim został skomponowany bardzo umiejętnie i choć Ksawery Pruszyński w tym samym numerze narzeka, że nasz stosunek do Fran- cji nie uwzględnia jej „zwyczajności” to jed- nak wydaje mi się, że wypełniony artykuła- mi o ważnych sprawach Francji, numer „Odrodzenia” nie stracił, nie publikując innych prac o „un petit coin de France” prócz pracy Pruszyńskiego. Zapewne, odkry- wanie uroku pejzażu francuskiego lub spo-

kojnego (?) toku życia drabnionieszkańskiej prowincji jest rzeczą bardzo miłą. Bieda w tym tylko, że ów pejzaż „słodkiej Francji” coraz to bardziej zasnuwa się chmurami i być może obowiązkiem publicysty jest dziś raczej sygnalizowanie czytelnikom tej nie- przyjemnej, lecz niestety prawdziwej zmia- ny barw, jaką obserwujemy na francuskim niebie.

Dłatego bardziej od kulturalnego i pełnego literackich reminiscencji artykułu Hanny Malewskiej zainteresuje czytelnika artykuł Mirosława Zuławskiego: „Lato Francuskie”, w którym autor porusza sprawy polityczne, m. inn. problem kolonialny francuski. Julia Hartwig, w swoim świetnie napisanym „Bul- letynie paryskim” dała obraz miasta, złożony zarówno z reminiscencji literackich i arty- stycznych jak również i z elementów dzisiej- szej rzeczywistości. W sumie powstała może najlepsza pozycja francuskiego numeru „O- drodzenia”. Piszę o tym francuskim numerze, choć ukazał się on już dawno, dlatego, że wśród publikacji, jakie pojawiły się w rocz- nie zbiorzenia Bastylji, numer ten był naj- ciekawszy i najlepiej skomponowany.

Nr. 32 „Odrodzenia” przynosi dalsze echa nagrody, przyznanej w roku bieżącym Iwas- kiewiczowi. Wśród przemówień szczególnie interesujące jest przemówienie laureata o- raz przemówienie Tadeusza Brezy, które mo- głoby stanowić wzór tego rodzaju literac- kiego.

Reportaż Marii Kuryluk „Odpowiedź” przedstawia nam rzeczywistość szczytną widzianą poprzez rozmowy z przygodnie spotkanymi ludźmi; z dorozkarzem, z mili- cjanem. Coprawda wypowiedź milicjanta na temat pewnych zjawisk literatury współ- cześniejszej każę się nam zastanowić, czy to iż pewne partie tych zjawisk są dla milicjanta obce jest winą pisarzy, czy też wynika z nie- przygotowania milicjanta; tę chwilę zastano- wienia zawdzięczamy jednak reportażowi. Wydaje mi się, iż forma reportażu, który nie wymaga zbyt wielkich historycznych pers- pektyw, może dziś skutecznie odciążać po- wieść — gatunek bardziej odporny na poku- sy teraźniejszości.

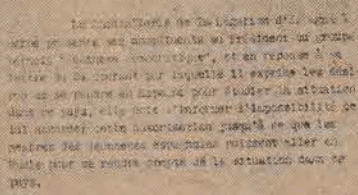
Ten poboczny problem wynikający z za- sadniczego zagadnienia zagadnienia walki o nową kulturę, wyjaśnia nam pośrednio Włodzimierz Sokorski w przemówieniu wygłoszo- nym na krajowej konferencji związków artystycznych, a zamieszczonym w omawia- nym przeze mnie numerze „Odrodzenia” o- świadczając m. inn.: Świat pracy nie chce bynajmniej ograniczyć swoich przeżyć ar- tystycznych do spraw związanych z warszta- tem pracy i z problematyką walki. Bynaj- mniej nie chodzi mu o t. zw. „kulturę dla mas”, przez którą przeważnie rozumie się płytka agitacja na niskim poziomie artysty- cznym”. Sokorski stawia sprawę na jedyną słuszną płaszczyznę. Nie żądając bynaj- mniej od pisarzy, by wyrekli się doskona- łości rzemiosła, ani też by odrzucili tradycję i doświadczenie artystyczne, zwraca uwagę na konieczność nowego, historycznego spoj- rzenia na sprawę ludzką. Pozwól sobie tu dodać, że tak właśnie pojęta literatura, od której odeszliśmy w okresie rozluźniania się solidnej niegdyś konstrukcji mieszczańskiej, była artystycznie doskonała, zaś ideologicznie — postępową. Te dwie zasadnicze cechy nie były nigdy ze sobą sprzeczne: ani u Turgie- niewa, ani u Dickens'a, ani u Tołstoja, ani u Stendhala. Niestety, brak wznowień kla- sycznej literatury nie każdemu pozwala się o tym przekonać.



# Noty

## Gdzie Rzym, gdzie Krym...

W początkach maja b. r. grupa młodzieży szwajcarskiej „Junge Demokratie” wysłała do poselstwa hiszpańskiego w Bernie prośbę o wydanie zezwolenia dwóm przedstawicielom organizacji na wjazd do Hiszpanii, celem zapoznania się z życiem tamtejszej młodzieży. Na to otrzymała następującą odpowiedź:



### „Poselstwo Hiszpanii, Bern.

Kancelaria poselstwa Hiszpanii w Bernie przesyła pozdrowienia prezydentowi berniejskiej grupy „Młodzieży Demokratycznej” i w odpowiedzi na jego list z dn. 24 b. m. w którym wyraża on życzenie udania się do Hiszpanii w celu przestudiowania sytuacji w tym kraju, zmuszona jest poinformować o niemożności wydania mu takiego pozwolenia do czasu, kiedy członkowie młodzieży hiszpańskiej będą mogli udać się do Rosji, aby zbadać sytuację tego państwa.

Dobry kawał, prawda? Szkoda tylko, że dyplomaci Caudillo wciąż jeszcze mogą dysponować tak błyskotliwym i żywym dowcipem.

## Niemcy cierpią za całe chrześcijaństwo

W Heidelbergu odbył się Kongres „Uniwersytetów Katolickich”. W Kongresie wziął również udział specjalny wysłannik Trumana prof. Bodensieck, którego zadaniem jest badanie zagadnień kościoła ewangelickiego w Niemczech. Bodensieck powiedział, że „Niemcy cierpią obecnie za całe chrześcijaństwo. Cierpienia te są surową lekcją dla Ameryki. Jeżeli nie zwróci ona uwagi na znaki Boskie, może stanąć w obliczu groźących jej niebezpieczeństw.”

Niemcy jako Chrystus narodów. To chyba już jest rekord anglosaskiego idiotyzmu.

## Prawdziwy, złoty Longin...

Cytaty z artykułu p. Longina Szafiarskiego pt. „Pochodzenie marksizmu” („Dziś i Jutro” Nr 33): „Od chwili gdy wielki kapitał zastąpił wielu ludziom wyobrażenia szatana — robotnik walczący z burżujem nabrął cech prawie anielskich. Ślady dualizmu religijnego widoczne są nawet w koncepcji walki klas.”

„Materializm dziejowy znieprawił dialektykę pozostającą na usługach myśli religijnej. Pozbawiając ją elementu miłości uczynił nienawiść i walkę demonicznym żywiołem egzystencji ludzkiej.”

„Wątpliwości powstały już dawno, a Marks sam przyczynił się do ich powstania. Wystarczy przypomnieć jego fałszywą diagnozę, dotyczącą przebiegu rewolucji społecznej... Wiadomo, że powstanie olbrzymich spółek akcyjnych nadało tym procesom zgoła odmienny charakter.”

„Niedawno jeden z publicystów zapytał Sandaera w „Życiu Literackim”, czy słuszne jest twierdzenie Nietschego, jakoby chrześcijaństwo było religią niewolników oraz ludzi słabych i upośledzonych społecznie... Dlaczego wskazania moralne, obowiązujące wyznawców Buddy, Chrystusa czy Konfucjusza, są w wielu wypadkach po prostu identyczne... Czyim interesem klasowym wysługiwał się Mojżesz, ogłaszając ludowi żydowskiemu Dekalog objawiony mu na górze Synaj?”



„W obliczu takich konkretnych zagadnień cała teoria o bazie i nadbudowie wykazuje swą dialektyczną bezsilność, biegł w piśmie milczą i nawet Sandauer woli nie podejmować kłopotliwego w istocie tematu.”

Panie Longinie! Kochany, stary wariacie, co pan powypisywał? Czy pan wie, że Sandauer po tych straszliwych pytaniach uciekł do Paryża, aby zrewidować swój stosunek do Dziesięciu Przykazań, spółek akcyjnych, Buddy i Dobraczyńskiego? Trzeba oszczędzać nawet swych przeciwników, drogi panie Longinie.

(Redakcji „Dziś i Jutro” możemy polecić adres zegarmistrza, który naprawia zepsute Longiny za tanią opłatą).

## Katolicka racja stanu

Z artykułu p. Jana Meysztowicza pt. „Rozważania o racji stanu” („Dziś i Jutro” Nr 33):

„Przed Włochami w 1939 stał, z grubsza zarysowany, następujący wybór: a) uznanie, że korzyści z istnienia w okresie 1936—39 osi Rzym—Berlin się wyczerpały, że Niemcy, zwłaszcza hitlerowskie, staną się niemożliwym partnerem jako zwycięzcy, że charakter wojny, jaki narzucili predestynuje Włochy prędzej czy później do obozu antyniemieckiego, uzyskując za to odrazu pokaźną cenę i piękne perspektywy po wspólnym zwycięstwie; b) neutralność i uzyskiwanie maksymalnych korzyści od obu stron aż do końca wojny, jaki narzucili, predestynuje Włochy mniej do silniejszego za jak najwyższą cenę, jak najmniejszym kosztem...; c) założenie, że pomimo uciążliwości Niemiec jako alianta ich zwycięstwo jest pewne i długotrwałe, a zatem trzeba być po stronie zwycięzcy...”

„Błędy Mussoliniego należą pouczająco do obu kategorii: materialnej i psychicznej. Z jednej strony Włosi byli zbyt słabi, aby się wydatnie przyczynić do zwycięstwa Niemiec, z drugiej naród włoski nie chciał się bić dla wskazanych przez Duce celów.”



A więc nareszcie poznaliśmy błędy Mussoliniego! Biedactwo zginęło marnie, bo nie umiało dokonać wyboru między punktami a, b i c p. Meysztowicza! Macchiavelistyczna „racja stanu” uznana przez katolików z „Dziś i Jutro”, to coś zupełnie nowego! Motywacja moralna trzech możliwości polityki włoskiej w okresie, gdy demokracje świata odpięły faszyzm, zasługuje na podziw. Oto jeszcze jedna garść brudu dorzucona do mętnej moralności reakcyjnej, która podłość nazywa „biedem”, a sprzedajność „racją stanu”. Winszujemy nowej, katolickiej racji stanu!

## Dane Szewczyka

W ostatnim numerze „Odry” Wilhelm Szewczyk w artykule poświęconym sprawom literatury niemieckiej wspomina m. in. o Stefanie George, twórcy i ideologu dość mistycznych, politycznie zaś reakcyjnych niewątpliwie doktryn, które z biegiem lat urzeczywistniały się w coraz to bardziej żalosnej postaci, by wreszcie w roku 1933, z chwilą gdy do władzy doszedł Hitler, osiągnąć wreszcie bruku.

George nie był jednak nigdy, jak by to mógł wywnioskować mało zorientowany w literaturze niemieckiej czytelnik, „pro-rokiem Trzeciej Rzeszy”; nie było również nigdy w Niemczech organizacji któraby się nazywała „Heimliches Deutschland”. Szewczyk w jednym zdaniu robi aż dwa błędy. Wiadomo bowiem, że Stefan George zmarł na dobrowolnym wygnaniu dnia 4 grudnia 1933 roku w Szwajcarii. Wiadomo również,

że w roku 1933 hitlerowcy po przyjęciu do władzy zaproponowali pocię, by objął prezydenturę Akademii Literatury i by przyjął stałą pensję. George odrzucił zarówno pierwszą jak i drugą propozycję, po czym dobrowolnie opuścił Niemcy.

Faszyści chętnie powoływali się na wielkich pisarzy, anektując Hölderlina, Nietschego, George. Niewątpliwie dwaj ostatni pisarze (vide: rozprawa Lukasa o Nietsche, „Myśl Współczesna” Nr 4 i 5, br.) są łatwiejsi do zaanektowania niż np. Hölderlin, a to ze względu na to, iż twórczość ich przypada w okresie silnego rozwoju imperialistycznych dążeń wielkomiejszczańskich Niemiec. Zarówno Nietsche, jak i George nadawali tym dążeniom formy piękniejsze od treści, jaka się w nich zamykała. Obaj tworzyli mitologię własnej klasy. Mimo to byłoby, jak mi się wydaje, rzeczą najwągną ograniczyć się do tej tylko oceny. George jest klasycznym już dziś poetą, posiada ogromną zasługę nawiązywania do tradycji kultury romańskiej, jest całkowitym zaprzeczeniem tezy „Blut und Boden”, najdalszy od szowinizmu i zgody z hitleryzmem, czego dał dowód, opuszczając Niemcy. Trudno więc uznać określenie Szewczyka („prorok Trzeciej Rzeszy”) za słuszne, tym bardziej, że nie mamy żadnego powodu, by do nielicznej grupy prawdziwych pisarzy, którzy solidaryzowali się z hitleryzmem (Hauptmann, Benn, Carossa, z Austriaków, jeśli pamiętam, Max Mell, Josef Weinheber) lub też mu ulegli, dorzucać jeszcze hojną ręką tych, którzy mu się przeciwstawili. Co do organizacji „Heimliches Deutschland” to takiej nigdy nie było. Istniała natomiast organizacja „Geheimes Deutschland”, będąca raczej wszystkim innym niż organizacją polityczną sensu stricto. Była to elitarna „schöngointowska”, prawnicowa społecznie grupa intelektualistów którzy marzyli o restauracji Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Jednym z ważniejszych ich zajęć było składanie dorocznego wieńca na grobie Fryderyka w palermitańskiej Capella Palatina. Grupa ta była dość silnie związana z tzw. George-Kreistem. Prawdą jest również, że zarówno „Blätter für die Kunst” jak i wszystkie wydawnictwa George-Kreistu, autorstwa przez Bondy-Verlag w nielicznej ilości egzemplarzy w latach dwudziestych i później były znaczone stylizowaną swastyką.

Upewniam jednak p. Szewczyka, że źródło niemieckiego faszyzmu należy szukać gdzieś indziej niż w strofach Stefana George’a.

## „To lubię”

W jednym z codziennych pism łódzkich, oczywiście w dodatku niedzielnym, oś. gorz Topola rozkoszuje się myślą, co by to było, gdyby Mickiewicz czytał Leśmiana.

„Mickiewicz lubił twórczość Jana Kochanowskiego. Często czytywał jego treny. Dziś

# KOESPONDENCJA

Szan. Ob. Redaktorze!

W tygodniku „Odrodzenie” z dnia 10.8.47 r. ukazał się artykuł Józefa Chałasińskiego „sztuka jako element kultury historycznej”, oświetlający drogi, jakimi chodzą niektórzy przedstawiciele inteligencji, w wywodach swoich zbliżający się ku marksizmowi, ale na skutek marazmu myślowego, czy też ciężaru tradycji — nie zdolni do postawienia „kropki nad i”, stąd zygżaki i niekonsekwencje w toku ich myślenia.

Autorem w swojej analizie roli i znaczenia sztuki w kształtowaniu świadomości i narodu dochodzi do wniosku, że „Mamy tu do czynienia z podwójnymi kryteriami oceny moralnej i oceny piękna. Na jednych i drugich cięża stanowa struktura społeczeństwa.”

Innymi słowy, autor dochodzi do wniosku, że sztuka tak samo zresztą, jak i wszelka ideologia nosi na sobie piętno klasowe, wyraża interes i moralność klasową. Nie ma więc dzieła sztuki, literatury itd., oderwanej od rzeczywistości, ponadklasowej, ale wypływa ona i jest ścisłym odzwierciedleniem myśli, tendencji, ideologii pewnej warstwy społecznej.

Na innym miejscu tegoż artykułu, autor na przykładzie analizy twórczości Sienkiewicza i pisarzy chłopskich przeprowadza następującą tezę: „Jeżeli jak prof. Zakrzewski twierdzi, Sien-

kiewicz miał prawo „rabusia” Jaremę uczynić wielkim bohaterem narodowym, gdyż widział na dnie upadku nieskazitelną moralnie duszę narodu” (t. I str. 91) — to może tak samo w imię nieskazitelnego moralnie duszy chłopca można — może i trzeba rehabilitować i idealizować Jakubę Szelę.”

Nie jest to słuszne, ani z punktu widzenia nauki marksistowskiej, która dąży do poznania prawdy obiektywnej, ani też z punktu widzenia pisarzy i artystów, reprezentujących lewicę społeczną, którzy związani z ruchem postępu, muszą poznać prawdę historyczną zjawiska.

Pisarzom lewicy społecznej brązownictwo, ani idealizowanie nie jest potrzebne, lecz wprost przeciwnie, dążą oni wszelkimi środkami im dostępnymi do obnażenia rzeczywistości.

Zresztą wielu pisarzy, stojący na tzw. gruncie realizmu nie idealizowali.

Nie idealizował Balzac (aczkolwiek tworzył on w epoce, kiedy burżuazja reprezentowała jeszcze element twórczy, dynamiczny) — nie idealizuje Szolochow.

Idealizują tylko ci, którzy bronią szafców skazanych na zagładę.

Dlatego niesłusznie twierdzi prof. Chałasiński, że „można a może i trzeba, rehabilitować i idealizować Jakubę Szelę.”

Ksawery Probołowski

Warszawa, 8.8.47.

także byłby wzruszony, gdyby mógł wziąć do ręki tom wierszy Bolesława Leśmiana. I Leśmian, zmarły w 1937 roku poeta, czcił Kochanowskiego, a o jego córce Urszuli napisał wiersz pt. „Urszula Kochanowska”.

„Wyobraźnia Leśmiana napewno byłaby bliska Mickiewiczowi. W książkach Leśmiana zamknięty jest najpiękniejszy świat dziwów”.

Skąd ta pewność, Grzegorz Topolo? Solidny znawca poezji, zanim wygłosi takie zdanie, powinien się przed tym sam upewnić. Najlepiej — na seansie spirytystycznym. Wystar, czy odczytać duchowi Mickiewicza kilka ballad Leśmiana, a duch nie omieszka odpowiedzieć: „To lubię!”

## Przykłady przekładów

W przeglądzie bibliograficznym moskiewskiego tygodnika „Nowoje Wremia” (No 28), znajdujemy następujące przekłady z języków obcych, wydane ostatnio w Z.S.R.R.:

**Diderot:** Pisma T. X. Rossica (Utworki, dotyczące Rosji i spraw rosyjskich).

**Balzac:** Pisma T. XVII. Komedia ludzka. Szuani.

**John Galsworthy:** Saga rodu Forsytów. W dwu tomach.

Przekłady klasyków uzupełnione są obszernymi wstępami, komentarzami i przypisaniami. Cena wydawnictw bardzo dostępna: od 8 do 20 rubli.

Tak wygląda słuszna polityka kulturalna w państwie ludowym!

## Zasługi

Przyjemnie i pożytecznie jest poszperać w starych czasopiśmie, ukrywających wiele ziaren prawdziwej — czasem nawet natchnionej — mądrości. Tak np. w No 231 miesięcznika „Ateneum Kapłańskie”, ze stycznia r. 1939, ks. dr. J. Pastuszko snuje (na str. 37) następujące rozważania o — hitleryzm



„Zajmując postawę antykomunistyczną, narodowy socjalizm niemiecki przyczynił się do powstrzymania niebezpieczeństwa bolszewickiego dla Europy. Pod tym względem zasłużył się całej ludzkości (podkr. b.d.). Nie można mu również odmówić zasług w kierunku konsolidacji narodowej i państwowej Niemiec...”

Wiekopomne zasługi narodowego socjalizmu niemieckiego — dodamy od siebie — „cała ludzkość” mogła ocenić w pełni dopiero w latach 1939—1945.

Ciekawa rzecz, gdzie przebywa obecnie ks. dr. Pastuszko i jakie są jego aktualne poglądy.

## Żelazna kurtyna

Okazuje się, że istotnie jesteśmy oddzieleni od świata żelazną kurtyną. Kurtyna ta zapada zwłaszcza przed transportami książek i w dodatku tak jest świetnie urządzona, iż jednocześnie zasłania się na naszej zachodniej i wschodniej granicy. W wyniku tak doskonałej i precyzyjnie działającego urządzenia pracownicy nauki i kultury w Polsce są pozbawieni prawie całkowicie dopływu książek i czasopism z Francji i z ZSRR. Jeśli jednak z Francji, dokąd wyjazdy bywają częstsze, można ostatecznie sprowadzić sobie drogą prywatnej uprzejmości rzeczy najpotrzebniejsze, to z ZSRR, dokąd nasi naukowcy i pisarze wyjeżdżają rzadziej, książki sprowadzić jest znacznie trudniej. Dlatego też pokładaliśmy wielkie nadzieje w księgarniach Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Niestety, obie warszawskie księgarnie Towarzystwa posiadają z dziedziny literatury pięknej jedynie kilka nowości. W całkowitym zaniedbaniu jest dział klasyków, których jak wiadomo wydaje się w ZSRR stale i to w ogromnych nakładach. Jeśli już szczęśliwie udaje się znaleźć coś na półkach obu księgarni Towarzystwa, to zazwyczaj bywają to oddzielne tomy poszczególnych wydań. Można kupić tom pierwszy opowiadań Tolstoja, tom trzeci, piąty i siódmy zbioru Czechowa, tom pierwszy Historii Bułgarii i td. Oczywiście tak zdekompletowane wydawnictwa są zupełnie bezwartościowe. Zwracamy się z apelem do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, by nie zaprzepaściło tej wielkiej pomocy, jaką Puszkini, Lermontow, Gogol, Tołstoj, Turgeniew, Bieliński, Błok czy Majakowski mogą okazać dziełu zbliżenia kulturalnego i by wpłynęło na uzupełnienie asortymentu swoich księgarni. Inaczej legenda o żelaznej kurtynie przestanie być tylko legendą!

## Komunikat

Dnia 19 sierpnia 1947 roku, w rocznicę śmierci Adeli Tuwim Zarząd Funduszu otrzymał od Juliana Tuwima zł 100.000 jako doroczną kwotę fundacyjną do rozdzielenia pomiędzy znajdujących się w ciężkiej sytuacji materialnej literatów i wdów lub sierot po zmarłych pisarzach.

Zarząd Funduszu w osobach: Kazimierz Brandys, Seweryn Pollak i Stefan Żółkiewski dokona rozdzielenia na posiedzeniu w dniu 1 września rb.

Zarząd Funduszu im. Adeli Tuwim

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.  
**REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.**  
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 18.  
 Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 86. — Telefon 205-42.  
**CENA OGŁOSZEŃ:**  
 Za 1 mm na 1 zeszyte 40 zł.  
 D-019991 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — 2665, świrki 2.